

*ms. Dr. Seimbach*

# RYDWAN

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY  
SPRAWOM TWÓRCZOŚCI  
I KULTURY POLSKIEJ



M A R Z E C  
1 9 1 2

---

---

## TREŚĆ ZESZYTU:

### I. IDEE I KONCEPCYE.

- |   |                     |
|---|---------------------|
| 1. PERSEFONA                                | TADEUSZ SZANTROCH   |
| 2. POWIEŚĆ STOSOWANA STAN.<br>BRZOZOWSKIEGO | CEZARY JELLENTA     |
| 3. WALKA O CZŁOWIECZEŃSTWO                  | STANISŁAW BACZYŃSKI |

### I. PRZEGLĄD.

- |                                       |                      |
|---------------------------------------|----------------------|
| 4. „REWINDYKACYE WŁASNOŚCI<br>NASZEJ“ | MARCIN SAMLICKI      |
| 5. KU CZCI ZYGM. KRASIŃSKIEGO         | ALF.                 |
| 6. WYSTAWA TOW. „RZEŻBA“              | EDWARD HOSZOWSKI     |
| 7. AMBASADA MONIZMU W KRA-<br>KOWIE   | KAZIMIERZ BEREŻYŃSKI |
| 8. TEATR. „STRACEŃCY“                 | JAN ZARYCZ           |

### III. SYGNAŁY.

- |                                     |                       |
|-------------------------------------|-----------------------|
| 9. UROCZYŚCIE SMUTNE RE-<br>FLEKSYE | J. ALBIN HERBACZEWSKI |
| 10. ACH, ZAJRZEĆ W DUSZE<br>BRATNIE | ADAM STODOR           |
| 11. PIERWSZE ATAKI NA „RYDWAN“      | ALASTOR               |

---

## TREŚĆ ZESZYTU DRUGIEGO:

### I. IDEE I KONCEPCYE.

- |                                  |                 |
|----------------------------------|-----------------|
| 1. RYDWAN                        | JAN ZARYCZ      |
| 2. OPIEKA NAD DUSZĄ KRASIŃSKIEGO | CEZARY JELLENTA |

### II. PRZEGLĄD.

- |                              |                       |
|------------------------------|-----------------------|
| 3. NEO-MISTYKA „DOCZESNOŚCI“ | J. ALBIN HERBACZEWSKI |
| 4. OPOKA MESYANIZMU          | KAZIMIERZ BEREŻYŃSKI  |
| 5. WYBÓR MYŚLI VOLTAIRE'A    | KAZIMIERZ BEREŻYŃSKI  |
| 6. „INTERLUDYA“              | EDWARD HOSZOWSKI      |
| 7. SATYRA W SZOPCE           | ALASTOR               |

### III. SYGNAŁY.

- |                                |                  |
|--------------------------------|------------------|
| 8. STULECIE NAPOLEONA          | JAN ZARYCZ       |
| 9. ZWIERZENIA O NASZEJ KRYTYCE | MARCIN SAMLICKI  |
| 10. MIZERYA TEATRALNA          | ALASTOR          |
| 11. „ZŁOTY RÓG“                |                  |
| 12. ZDEMASKOWANIE MICKIEWICZA  | RYSZARD BAHENICZ |

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.

---

## Persefona.

Z łąki, od kwiatów, gdzie w płas mimowiednie  
życia zawrotny rwał me stopy rytm,  
nagle porwana jestem w mrok, w bezednie,  
błądząc wśród cieniów żywa pośród widm.

W mrocznych pałacach obcych mi boleśnie  
Pluton przemocny więzi moje sny,  
lecz gdy się czasem w te sny cała weśnię,  
jutrznia wyzwolin świta mi przez ły.

Oto się widzę: w nadwiślane łągi  
wracam, śpiewając swój podziemny los,  
pól rozoranych wita mnie dech tęgi,  
wiatr z ziół do stóp mych strząsa gwiazdy ros...

Tak snię niewolna. Sfinksów czujne strażę  
szydzą z mych marzeń swym uśmiechem złym,  
że taka wiotka w białej swej symarze,  
buntu pochodnią chcą urągać im.

Martwy śmiech sfinksów! Przyjdzie wieść radosna,  
ziemią mnie dojdzie, zbudzi siostrę gwiazd...  
otom jest wieczna w słońcu jako wiosna,  
wolna, ta sama, z którą gwarzył Piast.

*TADEUSZ SZANTROCH.*



## Powieść stosowana Stan. Brzozowskiego.

Z przeoraniem tej żyznej gleby, którą jest filozofia i literatura Brzozowskiego, nie należało się spieszyć. Twórczość ta powstała jednocześnie z głowy i z serca, więc posiada w sobie zawilść wszelkiej prawdziwej myśli i wszelakiego prawdziwego uczucia. Są to kolumny intelektualnych wartości, które sprawdzić i zsumować uczciwie niełatwo. Trudność wzrasta wskutek komplikacji, związanych z „kwestyą Brzozowskiego“, a przede wszystkim wskutek zalewu sądów dyktanckich i płytkich, tyranii entuzjazmu pewnych kół, oraz teroryzmu potępienia w innych kołach. Dusze szlachetne, współczujące osobistej tragedii stawionego pod pręgierz pisarza, z całą żarliwością sekciarzy poczęły głosić kult jego idei w sposób tak niedorzecznie naiwny, że człowiek zaczynał truchleć wobec takiego sparafianśczenia polskiej literatury, takiego zatracenia wszelkiej perspektywy krytycznej, takiego przekreślenia całego dorobku myśli wszechświatowej celem wywyższenia Brzozowskiego. Włożono mu na głowę wieniec, upleciony z hołdowniczej ignorancji. Oderwano go od pnia, z którego wyrósł, od tych, których jest ciągiem dalszym, a najczęściej tylko utalentowanym transkryptorem. Było to tem szkodliwsze i tem sprzeczniejsze z własnym jego duchem, że on dość uczciwie, jak na nasze znieprawione stosunki, przyznawał się do tego, co winien innym, i stosunkowo mało miał małoduszności zamilczania o innych.

To, co chcę powiedzieć o Brzozowskim, nie płynie z chęci ściągnięcia go z wyżyny, lecz z wewnętrznej potrzeby postawienia go na właściwej wyżynie. Ale przez to ostatnie rozumiem co innego, niż danie literackiego stopnia, niż wyznaczenie miejsca w hierarchii twórców i myślicieli polskich. Przede wszystkim chodzić powinno o znalezienie Brzozowskiego. Ukryto go, zarzucono, zasypano. Trzeba go odnaleźć nie tylko z pośród chwastów sensacyi, związanej z jego istotą, ale i wydobyć go z gmatwaniny jego własnej gorączkowej cerebracyi, z manowców jego bezustannego transu pisarskiego.



Jeśli wobec kogo, to wobec Brzozowskiego godzi się próbować być zdrowym na tle powszechnej choroby przeoczenia dusz i indywidualności, a widzenia samych tylko Kolumbów na ziemi. Usiłuję być zdrowym szczególnie w tym wypadku. Myślę, że więcej się przysłużę, odbudowując i portretując umysłowość zmarłego prometeisty polskiego, niż biorąc go za punkt środkowy nowej konstelacji.

Snobia i histeryczna impulsywność nasza najwięcej nagrzeszyła względem *Płomieni*. Z ich pomocą przeto najłatwiej przebić się od razu przez wysoki wał nonsensów opinii i krytyki, opasujący Brzozowskiego.

*Płomienie* były sensacją. Można było widzieć je w rękach ludzi, niezdolnych już nie tylko do rozumienia i przeuczowania związku bliskiego tych dwóch tomów z resztą książek autora, lecz zasadniczo wrogich takim „przewrotowym”, rewolucyjnym materyom. Nie widzę ani jednej stronicy, ani jednego epizodu, ani jednej myśli, ani jednego uczucia, ani jednej kropli z wezbranej czary tej pseudopowieści, któraby mogła być zrozumiana przez leniwe, ciemne i zarosłe zielskiem głowiny większości jej czytelników. Opasłe filistry lub ubogi duchem plebs ze świątyni szablonu rozprawiały o książce, której treścią i wartością jest przedewszystkiem bezwzględne zerwanie z sadłem i roślinną, wegetacyjną częścią społeczeństwa.

Całe ideowe podłoże *Płomieni* było dla głównej masy czytelniczej wprost nieprzystępne. Pozostawała strona artystyczna i pewnie tą się zachwycano. Ale ponieważ są one wartości artystycznej prawie zupełnie pozbawione, więc stosunek namiętny ogółu do *Płomieni* staje się czemś wysoce komicznem. Zdaje się, że całe to gorące zainteresowanie się lub uwielbienie powstało z — tytułu.

Tytuł *Płomienie* jest tylko mistyfikacją. Brzozowski niedopowiedział najważniejszego słowa: zgasłe albo: zduszone. Albo też nie chciał użyć jedyne go właściwego w tym razie imienia: *Mogiły*. *Płomienie* bowiem to nekrolog filozofa-poety na grobie idei wyzwolenia.

Ale *Mogiły* działałyby odstrasząco. *Płomienie* zaś przyciągają i coś natracają o niedawnej krwawej burzy. Brzozowski znał publiczność. Użył tytułu, jak barwnego jaskrawego plakatu. Nie czynię mu z tego zarzutu. Gdyby chciał być ścisłym i dostojnym, i absolutnie unikać bluffu, w karty jego powieści owijanoby placki. Na każdego polskiego pisarza, który potrafi zbudować myśl, zawczasu czyha śmierć. Trzeba więc z nią walczyć za wszelką cenę i nie tylko w swoim, ale i narodu interesie. A na każdego pisarza, poświęconego

torowaniu przepływu idei między światem a Polską, czyha w dodatku i nędza i niesława. Tak przynajmniej ukształtowała się dzisiejsza epoka. Brzozowski był zanadto ostrowidzem i osobiście doświadczonym nieszczęśliwym, ażeby o tem nie wiedzieć.

Może i dlatego właśnie *Płomienie* przybrały formę powieści. Ich twórca słuchał trzech bodźców: 1) swojej ambicyi uniwersalności, rzeczy naturalnej w każdym syntetycznym umyśle; 2) głębokiego i słusznego przekonania, że wszelką formą potrafi jako tako ować umysł, zbratany z poezją i literaturą bliżej, niż fachowi fabrykanci powieści; 3-cim wreszcie motywem była chęć podziałania na ciekawość i ułatwienia historycznym i przyszłościowym myślom — drogi do mózgów tych ludzi, którzy tylko powieść za literaturę uważają.

\* \* \*

*Płomienie* nie są bynajmniej dziełem sztuki.

Zdarza się podczas krwawych wojen lub klęsk żywiołowych, że korespondenci pism, podnieceni grozą i okropnością, wznoszą się do siły stylu i obrazowania, że umiejętnie potęgują kolor i dosadnym czynią rysunek. Ale dzieła sztuki jeszcze tem nie stwarzają. Takim gorącym opisem straszliwej rzeczywistości był *Krwawy śmiech* rosyjskiego pisarza Andrejewa, odtwarzający piekło wojny japońskiej. Tam wypadki panują w zupełności nad opowiadaczem, on jest tylko ich wymownym rzecznikiem, a zgoła nie wolno mu być przemożnym twórcą, któryby wypadkami władał i kojarzył je i kombinował wedle pewnej własnej idei. Gdyby chciał wypadkami rządzić, musiałby wypaczać fakta.

Zupełnie tak samo nie włada i nie rządzi wypadkami Brzozowski. Jego temat — budzenie się pewnego potężnego odłamu „*Narodnej Woli*” jest tematem wspaniałym, ale opracowanym całkiem nieartyście. Do tak olbrzymich dramatów i tragedyi, jak walka podziemna z caratem i osobą Aleksandra II, jak przygotowywanie i wykonanie pamiętnego zamachu, jak boczny odblask budzącej się samowiedzy rewolucyjno-socjalnej świata w Komunie paryskiej — należy postępować z całkiem innymi danymi i całkiem innymi zasadami. Powinno się je widzieć, i słyszeć i czuć, być zżytym z ich życiem, mieć w oczach ich wizye, w uszach ich odgłos. Tak Wiktor Hugo, choć retorycznie, oddeklamował z głębi serca i rozumu całą tytaniczną epopeję roku 1793 (*L'année terrible*). Tak w wyższym jeszcze stopniu wskrzesił w swej duszy Lew Tołstoj epos napoleoński. Takie świe-

ne momenty wspaniałego rządzenia wypadkami, czyli układania z nich kompozycji wedle prawa swojego własnego intelektu, miewa Żeromski w swych nierównych „Popiołach“.

Stosunek Brzozowskiego do idei Narodnej Woli, do postaci i wydarzeń, jest wprawdzie namiętny i na pobratymstwie oparty, ale czysto kronikarski, historyczno-literacki. Przesuwają się one przed nami tak szybko i ukazują tak dorywczo, jak gdyby były różnemi przeobrażeniami jednego transformisty. Brzozowski nie może wytrzymać wizji, obrazu, poczyna płód, ale go nie donasza, nie stwarza ale roni. Pędzi naprzód i naprzód, wierny swej żywiołowej swadzie i filozofii niepowstrzymanego ruchu w przyszłość, ale zapomina, że sztuka i twórczość nie są szybkobiegaczami. Przeciwnie, one jak Prometeusz Goethego muszą „siedzieć i formować ludzi“. Zamiast, żeby wypadki gotowe i przetrawione stężały w walory, w kształty — przepływały przez autora — autor *Płomieni* przepływa pomiędzy nimi, jak lustrator na jakiejś rewii. Jest to nieraz tylko szlachetne dziennikarstwo, albo ideowe kronikarstwo. Nie ma przeżycia — właśnie tego, na czem Brzozowski w swoich pracach krytycznych zasadzał wartość utworów. Charakteryzuje on zawsze z daleka, zawsze jak gdyby z drugiej, trzeciej ręki. Podaje ideę człowieka, ale nie widzi i nie maluje jego duszy i natury. Stąd całe dzieło stało się wielkim zbiorem oderwań, algebraicznych znaków zaprawionych kolorystycznie, a niekiedy muzycznie wierszami, ale nie weszłych w stan żywych postaci.

Widać to szczególnie tam, gdzie Brzozowski dotyka ogromnego tematu Komuny paryskiej. Czyni to poprostu lekkomyślnie, niedowarzenie, z dyletantyzmem, który wprost obraża i wielką chwilę dziejową i sztukę. Refleksy rewolucji na gruncie szwajcarskim, np. uwolnienie Kaniowskiego, którego miano wydać Rosyi, spełzły. Spisek w celu odbicia Nieczajewa, zabicie księżniczki Jolanty, przytułek dla bezdomnych fantastycznego mędrca anarchisty Asta, piękna postać Kati, jej przewodztwo na barykadach, jej śmierć w szprychach armatniego koła — to są motywy i bogate i wdzięczne. Ale Brzozowski uczył się je swoim zwykłym pośpiechem, podał jak gdyby z dziesiątej relacji, a przedewszystkiem przetopił na dyalogi, aforyzmy, okrzyki ideowego oburzenia, wypaczył je tendencją, zasypał algebraicznymi znakami myśli rewolucyjno-socjalnej. Ludzie tutaj wszystko czynią z hasłem ideowym na ustach, z frazesem szlachetnym, ale nienaturalnym, z dziedziny spraw kobiecych, socjalnych i państwowych. Tak myślą i tak mówią, tak kochają i są zdradzani, tak zabijają i błogosławiają, tak żegnają

żony i dzieci i tak się mszczą, tak pracują naukowo. Są to same socjal-intelektualizmy, którym ponadawano imiona własne.

Możnaby i takie twory uznać, bo i dłaczegoby nie mogli istnieć ludzie stojący już na tych wyżynach, że wszystkie ich czyny i słowa, nawet powstałe w ostatniej nędzy i podeptaniu, są personifikacją doktryn i idei wyzwolenia, pracy lub zemsty społecznej? Mógłbym sobie wyobrazić i taką powieść i takich ludzi, zamienionych w idee. Ale w *Płomieniach* tego nie ma. Brak im głębszych, bardziej życiowych ośrodków istnienia; zacierają się w wyobraźni czytelnika, jak niedokształcone plazmy.

Możnaby to chcieć usprawiedliwić tem, że one są poniekąd prozelitami, świeżo nawróconymi, pierwszym, świeżym zarybkiem ideologii pracy i rewolucyi, i że dlatego tchną i parskają samemi prawdami i tezami. Ale niestety, one nie tchną i nie parskają — są rucho-memi, zresztą bardzo sympatycznemi formułami. Żadne wytłómaczenie nie usprawiedliwi ich reporterskiej pobieżności, ich faktury ilustracyi z tygodnika nowości i sensacyi.

Tę prawdę potwierdzają epizody udane, dociągnięte. Jest takich kilka. Michał Kaniowski, z którego pamiętników Brzozowski powieść swą wysnuwa, przekazał kilka wydarzeń, odmalowanych tak żywo i plastycznie, że one się wyrwywają z całości i zastanawiają siłą przedstawienia. Taką jest owa noc spędzona przez bohatera, gdy był jeszcze uczniem gimnazjum, w karczmie z kochanicą Bejłą, a potem chłostanie nagiej, przywiązanej do krzesła Kati nahajką na rozkaz jej męża-pijanicy Moroszkina. I jeszcze kilka podobnych momentów silnych możnaby zebrać. Wobec nich stale i natrętnie powraca domysł, że były właśnie przeżyte, osobiście widziane i doświadczone — i dlatego żyją.

Szczególnie uwydatnia się dziennikarskość lub publicystyka w dalszym rozwoju wypadków, kiedy „Miszuk“ Kaniowski jest już dojrzałym rewolucjonistą w partyi Narodnej Woli. Z ogromem materiału autor zgoła nie próbuje się uporać. Przesuwa przed nami kilkadziesiąt wybitnych osobistości: Nieczajew, Żelabow, dwaj Michajłowowie, Zofia Perowska, Kibalczyk, Brenneisen, Chałturyn, Hryniewiecki, Zelman, Sablin, filozof Sołowjew, Uspieński, Kirsanow, Wolzskij, Goldenberg i wielu innych. Są w tej wielkiej i posępnej panoramie prawie same postacie historyczne, które w ruchu wolnościowym rosyjskim odegrały rolę pierwszorzędą — bojowcy, odkrywcy, ideologowie, poeci, marzyciele, ludzie ze spizu i książęta niezłomni. Brzozowski charakteryzuje ich szybko i dorywczo, chybkimi krechami węgla. Ale



kto raz tylko jeden czyta *Płomienie*, temu ludzie owi mieszają się w jedną posępną mgłę, w pochód lub orszak, w którym istnieje napewno tylko pomnożony kontur, lecz nie ma indywidualów.

Charakterystyka opiera się na ich rozmowach i na ich podstawowych ideach i z idei zrodzonych uczuciach. Są to wogóle tylko rozmówcy, publicyści i autorzy wstępnych artykułów. Czyny zaś ich brzmią stłumione, jakby zrekonstruowane z artykułów w gazetach. Jestto męczący ciąg szlachetnych głów i słów, literacka fuga, ruchome diorama, kołowrot znakomitych powiedzeń, ale nie kształtów i widzialnych fizyognomii. Jest to notatka historyczna, jako szkic do monografii wielkiej dziejowej drużyny, napisana przez człowieka o gorącym sercu i znakomicie wykształconym umyśle.

\* \* \*

Probierzem artystycznej wartości dzieła jest prawie zawsze punkt kulminacyjny jego uczuciowego wezbrania — chwila, która jest właściwem wyzwoleniem wszystkich napiętych sił.

Taką chwilą jest w *Płomieniach* zabicie cesarza Aleksandra II, zarazem najwyższe spiętrzenie fali rewolucyjnej w Rosyi. Wszystko, co się działo w powieści przedtem, nie było wprawdzie przygotowaniem świadomem tego czynu, gdyż idea zjawiała się w pewnej chwili od razu, ale bezwiednem przysposabianiem faktu. Doktryna terrorystyczna i doktryna Nicczajewa żyły przedtem i wołały w niebogłose zgrzytem nienawiści, że fakt ten stać się musi. Gdy tę logiczną konieczność wypowiedziały usta Sołowjewa, nikogo ona nie zdziwiła ani przeraziła. Wywołała protesty i spory co do metody prowadzenia walki, ale były one krótkie i niemocne. A znaleźli się i entuzyaści. Każdy czuł, że plan ten, szalonym go nazwać czy trzeźwym, zgubnym czy zbawiennym, organicznie wykwitał z poprzednio nagromadzonego materiału żądzy odwetu.

Trzeba podziwiać, jak ta przełomowa chwila wypadła w *Płomieniach* słabo i bezdźwięcznie. Nie chodzi o opis samego wydarzenia — ci, co czyn spełnili lub nań patrzeli, zginęli tak prędko, że go opisywać nie mogli, chyba z pomostu szubienicy. To też śmierć owa brzmi w powieści zaledwo jak echo z ulicy, kilku urwanych krzyków i strzałów.

Ale sam fakt, jako eksplozja historyczna, powinien mieć całym innym rezonans. Powinna nastać pauza, w której by się czuło, że oto się zamknęła jakaś rozżarta paszcza i znalazły zadośćuczynienie

żądze i wściekłości. Powinnaby nastać cisza, w którejby ponadto sły-  
chać było kiełkowanie krwawego ziarna.

Brzozowski zajął się natomiast kroniką tępienia „Narodnej Woli”.  
Lecz wytrzebiecie jej nie było bynajmniej wyrąbaniem ruchomego  
groźnego lasu Birnamu. W samowiedzy historii śmierć Aleksandra II  
została i trwała.

Nie wypowiadam tutaj swego poglądu na sprawę rewolucyj, którą  
my dziś raczej moglibyśmy uważać jako zmarnowanie sił bezowoc-  
ne a nawet nagrodzone tundrą nacjonalizmu. Chcę być bezwzględnie  
obiektywnym. Na stanowisku Brzozowskiego stoję i wcielam się w my-  
śli i poglądy jego bohaterów. Otóż przedewszystkiem z jego własnego  
punktu widzenia, będącego zresztą tylko odbiciem ducha „Narodnej  
Woli” w skutecznym zamachu wzięła swój krwawy chrzest przyszłość.  
Nie tylko filozofia Brzozowskiego, ale cała jego pasja, całe jego je-  
stestwo, nawskróś futurystyczne, powinno było uczuć, że w owym dniu  
tragicznym zrodziło się coś dla jutra. Wyzwoliły się pewne siły, wiele  
mocy przepadło na zawsze, i skrycie przyszły na świat nowe. To  
powinien był czuć Kaniowski. A Brzozowski-Kaniowski powinien był  
rozumieć, że to, co przyniósł potem rok 1905, było w znacznym  
stopniu wykonaniem testamentu „Narodnej Woli”. Należało więc w tej  
chwili przełomowej zsumować rezultat, uderzyć w piorun, uczynić sze-  
roki, jak cały horyzont, przegład zdziałanego obrazoburstwa i podko-  
pania religii despotyzmu. Brzozowski o tem wszystkim zapomniał;  
z miejsca zaczął malować bachanalię oprawców i szpiegów, jak gdyby  
tylko z nich składał się ówczesny ogół rosyjski, i oni jedynie tworzyli  
fizyognomię momentu.

Taki doskonały badacz samowiedzy kulturalnej i „narastania”, taki  
gorący wyznawca tezy materializmu dziejowego (*Idee*), że człowiek  
to sam stworzył historję i wypracował z siebie świat — powinien  
był lepiej niż kto inny rozumieć sprawcze, przyczynowe znaczenie  
działań „Narodnej Woli” względem tak zwanej rewolucyj roku  
1905—06.

Możnaby nawet domniemywać się, że właśnie przecucie tego pew-  
nika było pobudką do napisania *Płomieni*. Lata, któreśmy nieda-  
wno przeżyli, uczyniły organizację pod hasłem „Ziemi i Woli” na  
nowo aktualną. Wyroczny ten dzień ostatecznego rozpętania się burzy  
powinien być dla artysty lub historyka tematem niesłychanie donio-  
słym. Dla Brzozowskiego zaś śmierć cesarza stała się najniespodzia-  
niej w świecie — tematem głuchym, bez rezonansu.

Brzozowski postąpił jak ktoś, co wspiął się z wielkim mozołem

na szczyt trudnej góry, ale zamiast rozejrzeć się do koła, pobyć jakiś czas na wysokościach, w tej samej sekundzie zaczął czempredzej zbiegać w dół.

Ostatecznie więc powieść potoczyła się drogą, która nie jest ani drogą sztuki ani publicystyki. Przyszły potem jeszcze charakterystyka Pobiedonoscewa i ostateczny zmierzch rewolucyi, aż wreszcie i prawie dobrowolne, apatyczne wpadnięcie Kaniowskiego w łapy zbirów. Nie nastąpiła żadna gradacya efektów, lecz dzieło osiadło jak lichy statek na mieliźnie faktów drobnych. Fikcyja, użyta w tytule: Z papierów po Michale Kaniowskim wydał i przedmową poprzedził Stanisław Brzozowski, — okazała się dotykálną prawdą. Są to istotnie tylko pamiętniki i notatki, spisywane przez człowieka o tkliwej duszy i rozległym wykształceniu, ale zupełnego dyletanta w rzeczach przekuwania lawy wypadków na kształty i formy.

Dodam, człowieka głęboko i zapalnie czującego i zespolonego ze sprawą i ideą. Nawet w tym powierzchownym rejestrze zdarzeń i figur zmierzch płacze krwawemi łzami i gwałtem wciąga czytelnika w koło swojego smutku.

Albowiem ten dyletant twórczości tak się głęboko zespolił z owem burzliwym wezbraniem idei i charakterów, że gdy się grunt pod nimi zapadł, odeszło własne jego życie. Kir się rozestał na niebie i ziemi, że trudno się oprzeć zarówno głębokiemu wzruszeniu, jak i wrażeniu, że pióro Brzozowskiego nastroiła własna jego chmura człowieka, skazanego na rychłą zagładę. Melancholia stała się wreszcie tonem dominującym. Smętku pożegnania plejady, która już nie wskrześnie i nie powtórzy się, nie łagodzi żadna filozofia. Wszystkie prawdy i aforyzmy, mające zbagatelizować śmierć samą przez się, ażeby widzieć w niej tylko okup nowego życia, pozostały osobno, izolowane w swej skorupie, nie rozpląnęły się po książce i nie rozświetliły jutra ani jednym promieniem.

Widzimy tedy, w co się zamieniły zapowiedziane „Płomienie“.

Ogniami nie były. Ani na chwilę nie stały się żywiołem. A może i dobrze się stało? Jest w nich coś wyższego. Są ustawicznie natężoną refleksją; przemieniają każdy czyn i każdą gwałtowność na akt świadomej, samowiednej energii intelektu. Nikt w tej powieści nie idzie za ślepym popędem, nie rządzi się instynktem. Wszystko, co z ducha, jest, uracyonalizowane, oddane pod berło krytycznego umysłu i świadomej woli.

Są to więc znowu w Płomieniach wartości inne, nie byle jakie, czasami pierwszorzędne. Zapodziała się kędyś sztuka, właściwie

nawet wcale na wezwanie autora się nie stawiała. Brzozowski nie jest artystą. Może nim będzie dopiero w drugiej powieści: *Sam wśród ludzi*. Użył i nadużył całej swej niezdolności do plastyki, męczącej abstrakcyjności i dyalektyzmu Hegłowsko-Marksowskiego z „*Idej*” i „*Legendy młodej Polski*”. Z taką nieopohamowaną manierą historycznego rozumowania i filozoficznego snucia wywodów, nie można być ani malarzem ani nawet muzykiem. Choć wiele razy przechodzi w nastrój poetycki i pisze rymami albo prozą rytmiczną — przeważnie są to dygresje naciągane i niepotrzebne. Wersety i refreny okrzyków i zapytań, modlitw i apostrof, zapożyczane, jakby sądzić należało z własnych dziękczynień autora, poprzedzających inne jego utwory, od Przybyszewskiego, — są balastem, obciążającym nieczytymi tonami tragedję opiewanych kurhanów.

Okresy i spadki lirycznych wylewów u Brzozowskiego stale czynią wrażenie cofania się ku formom zbanalizowanym przez snobów. Zawsze degradują one rzeźki i swoisty jego pęd przypomnieniem cudzych, wytartych dróg i łatwych efektów. Są ciałem obcym, które nie łączy się organicznie z tężyzną myślową autora, z jego mocnym rdzeniem celowości i dorzeczności, są ustępstwem i nawrotem do symbolicznej echolalii.

Odrzuciwszy jednak naloty obce i cudze i wszystkie błędy pisania na kolanie „sobotnim sztychem na niedzielny targ” — otrzymamy pomimo to kadłub zbyt wielki i doniosły, ażeby można było stosować doń probierz tylko artystyczny. Sztuka mogła zawieść — wartość wyższa mimo to mogła ocaleć.

Trzeba tedy przesunąć punkt ciężkości walorów *Płomieni*, ale negować ich niepodobna. Patrzeć na nie jako na powieść, jest to czynić im ujmę, bo opierać ich rację bytu na wątej podstawie, walącej się od najlżejszego podmuchu. Taką złą przysługę wyswiadczyli Brzozowskiemu ci, co nazwali *Płomienie* „powieścią intelektualną”, a w pierwszym rzędzie wielce sympatyczna entuzjastka, p. Zofia Rygier-Nałkowska.

Taki rodzaj powieści istnieje u nas i wogóle jest możliwy, ale *Płomienie* nim nie są. Brzozowskiego filozoficzna wielotreśćliwość i rozpęd publicystycznego stylu nie pozwalały mu ani wznieść się, ani zniżyć do poziomu powieści. Sztuka jest zawsze pewnem zacieśnieniem zadania i widnokręgów, jest nawet pewną mitręgą i żmudą. Powieść, zwłaszcza intelektualna, musi łączną pracą swych licznych figur i scen składać się na ideę i na cel, które rozum wykładczy i filozoficzny możeby nie mniej plastycznie, choć mniej obrazowo ujął

w tezy prostsze, lepsze i krótsze. Filozof ideolog, piszący powieść, musi paraliżować własny lot, własny myślowy rozrost usypiać i ciągle odłączanie się od ula nowych rojów myśli powściągać. Musi poprośtu wyzbyć się własnej, krwią kupionej filozofii i stać się impresyjnym odczuwaczem i twórcą wizyi, zatracić objęcie wszechświata i ludzkości i ograniczyć uwagę do jednostek i sytuacji.

Takich nagięć wrząca dusza Brzozowskiego nie dopuszczała. Skończyło się na tem, że do owych postaci przypiął całe rozdziały filozofii, historii, socjologii, metafizyki, teorii poznania. Postępuje on czysto dedukcyjnie. Nie operuje wizjami-snamami z wielkiego snu-życia, nie „widzi“, jak żądałby Carlyle. Ulubione swoje idee, albo raczej umiłowane przez siebie idee myślicieli zachodnich, których stał się rzecznikiem na gruncie polskim — opatrzył nazwiskami rosyjskich przeważnie rewolucjonistów. W ten sposób np. szeroką i mocną ideę najwyższego samooznaczenia swoich losów, życia jak i śmierci, poddanie wszystkich przejść świadomej woli — związał z imieniem Brenneisena. Z różnymi innymi, bądź z wszystkimi razem połączył ideę „traktowania swego życia jako świadomego dzieła“ (tom II, str. 215), ideę kosmicznego patriotyzmu z imieniem Kibalczycza i Siewierowa; ideę, że człowiek tworzy swój świat, że żyć, to znaczy brać udział w tej niezmordowanej pracy (str. 289), z Kibalczycem i różnymi; ideę bezinteresowności i czystości w dochodzeniu prawdy przeciwstawił egotyście-hypochondrykowi Kirsanowowi, u którego „wszystko przybrało formę ocalania własnej słuszności; każda nowa myśl i nowy człowiek to był wróg“ (str. 213). W ten sposób również idea wyklęcia szlachetczyzny i odrodzenia Polski przez chłopą, wyrta została przez skazańca polskiego na murze ciemnicy itd.

Podobnie znalazł przedstawicielki ideału kobiecego, mocy, czystości, szczerości i świadomej woli. Zilustrował go kilkoma związkami wielkiej rzewności i poetyckiego uroku. Nie waha się przeistaczać prawdziwych lub zmyślać nowych ludzi, ażeby przez nich wypowiedzieć swoje własne mniemania o Marksie, o pisarzach i działaczach rosyjskich. Każdy jego człowiek reprezentuje jakiś pożądany czynnik kultury i psychologii jutrzejszej. Przemawia przez nich bezustannie zawołany futurysta i budowniczy samowiedzy zbiorowej. Można by to nazwać zbiorem historycznych wyszlachetnień w duchu idealnym gwoli stworzenia obrazu przedświt, kiedy zapanuje samorządny człowiek-pracownik, jaźń niepodległa a pilna i lud mający „prawo stwarzania sobie własną wolą całego życia“.

Wyszlachetnione w ten sposób postacie mają pewne fizyognomie,

ale fizyognomie doktrynalne. Przedstawiają się nam swem obliczem historycznym, tj. w tej roli, którą odegrały lub odegrałyby w historii. Widzimy je tak, jak widzimy figury historyczne w naukowym szkicu. Ich życia osobistego, psychicznego nie poznajemy wcale, a jeśli ukazują je np. w splocie miłości lub przyjaźni, to znowu gwoli zailustrowania ideału spójni i poświęcenia itp.

Dość porównać ten rodzaj arcyzmu, będący talentem essayisty historycznego i dalszym ciągiem „Widm moich współczesnych” Brzozowskiego, z historycznymi powieściami Wiktora Hugo np. w „L'année terrible”, żeby mózż ująć od razu właściwość Brzozowskiego. Nie mówię już o Dostojewskim, który bierze postacie z rzeczywistości, ani o Turgeniewie, który prawdopodobnie czyni tak samo. Obadwaj tworzyli istotnie powieści intelektualne. (Dostojewski — „Bracia Karamazow” i „Biesy”, Turgeniew — „Ojcowie i dzieci”). Obadwaj założyli sobie przedstawić najwybitniejsze elementy polityczno-umysłowe swojego pokolenia. Ale w jakże potężną pochwycili je plastykę i jak gwałtownie wryli się niemi w pamięć!

Płomienie okazują się natomiast jakimś asylem dla prawd i pomysłów, wyłożonych w publicystycznych i krytycznych pracach Brzozowskiego, ich ilustracją niby życiową, nie pozbawioną jednak pewnej sugestii estetycznej, ich wreszcie zastosowaniem.

Powieść ta powstała wtedy, gdy pogląd na „strukturę duszy” kulturalnej był już w Brzozowskim sformowany, na podstawie Marksa, Bergsona, Sorela i Crocego. Płomienie są bowiem odgałęzieniem najcenniejszych wskazań owej filozofii i własnego, namiętnego *sempre avanti*. I zarazem rumowiskiem dla wszelkich przeżytków wyklętych i narowów, gubiących Polskę. W ogólności ciąży on ku „strukturze” duszy rosyjskiej. Nieco później, jakgdyby pragnąc sprostować przesadę i błąd, wyłożył, że rozumie istnienie i czucie ludzkie tylko w kategoriach i formach narodowościowych, a więc w kształtach własnego narodu. Na razie jednak skłonny jest apoteozować „Narodną Wolę”, czyni z niej myt i legendę, ideał swojej struktury ducha.

Koronę własnych swych dociekań i walk duchowych włożył na głowę — rosyjskiej organizacji spiskowej.

Ton bezmiernego idealizmu okupuje tę straszliwie ryzykowną przesadę zachwyty dla duszy rosyjskiej.

Na szczęście także, w samej materii filozoficznej i socjalnej Płomieni jest to bogactwo ogólnoludzkiej duszy i rozległość zagadnień, które o całe niebo przewyższa zwykły poziom tematów powieści naszej.

CEZARY JELLENTA.



## Walka o człowieczeństwo.

**W**szechmocnem jest prawo sugestyi w życiu ludzkim. Każdy odruch, wszelka myśl podlega z góry określonym normom użycia, a ocena wewnętrznych wartości stoi pod absolutną władzą przyjętych kryteriów. W sztuce piękno absolutnie pojęte, w życiu społecznym reguły prawne i instytucje, prócz tego potęga militarna, w nauce doktryny i prawdopodobieństwa posiadające bardzo mało styczności z prawdą, w filozofii jak i w religii uczucie podległości założeniom z góry postawionym.

Sugerujemy sobie wiarę w słowa, dźwięki i pseudosymbole, bez treściowych odpowiedników. Żyjemy bez odczucia rzeczywistych wartości konkretnych, zapomnieliśmy, że po za słowem kryć się powinna treść żywa, myślimy oderwanymi formułami i komunałami, określając wszystko zapomocą intelektu, wpierw zanim uświadomimy sobie cel własny, zanim poznamy swą odrębność i zdołamy uniknąć złud świata zewnętrznego, sugerowanego nam przez wychowanie metafizyczne. Czem jest „świat zewnętrzny”? Niczem innem, jak pustem słowem, formą nieodpowiadającą żadnej treści, chyba tej naszej wewnętrznej, — łupiną pustą bez wyraźnego przeznaczenia, o ile wyobrażamy go sobie konkretnie. Mówię: „rzecz sama w sobie” i określić nie zdołam, co należy rozumieć przez te słowa; powiadam: „życie”, „społeczność”, „sprawiedliwość”, „Bóg” itd., uważając dźwięki przezemnie wydane za kryteria, sprawdzające wartość mych przeżyć. Wygląda to raczej na kuglarstwo i zonglowanie słowami; któż bowiem poda treść, odpowiadającą tym formom, obowiązującą wszystkich, kto zdoła nakreślić prawa przyrody, czy też czegoś podobnego?

Czem jest przyroda, wszechświat, początek, koniec i prawda? Kto rozumie ogólne znaczenie tych słów? podstawí pod nie treść konkretną? Nikt — a jeśli będzie usiłował to uczynić, to rozwiąże zagadkę zapomocą podobnie metafizycznych terminów. Nie są one też tak da-

lece zrozumiałe same przez się, iżby ich analiza nie miała racji, nie mogłyby bowiem na ich tle powstawać tysiączne spory w ciągu wieków, kosztujące ludzkość niemało krwi. — Straszaków tego rodzaju błąka się wśród nas niezmierna ilość a wszystkie one przodują myśli ludzkiej. Moralność sankcyę od nich przyjmuje, sztuka opiera się na nich, państwo wzrosło na użyźnionej przez nie glebie dusz ludzkich, a religia i filozofia, zapychające niemi luki swych dogmatycznych dowodzeń, są ich rodzicami. Filozofia jest metodą religijną, a jak się wyraził Tomasz z Akwinu: *Fere totius philosophiae consideratio ad Dei cognitionem ordinatur*. Zdąza ona do stworzenia czy „odnalezienia“ abstraktu, zdolnego objąć świat cały, a więc buduje drogę do Boga. Scholastycy szli tam innemi drogami, innemi idą filozofowie, różnica więc pozostaje w sposobie. Czyż najwyższy abstrakt udeterminowany np. „wszechświat“ nie jest jota w jotę panteistycznym ujęciem rzeczy à la Spinoza? Czy prawo przeznaczenia, mojra, fatum nie zbliżają się w ogólnem pojęciu do praedysponowanych apriorycznych ideałów transcendentalnych Kanta? Czyż materializm filozoficzny nie jest odwróceniem metafizycznego Boga pod nazwą „przyroda“, a determinizm woli w psychologii współczesnej czyż nie zbliża się do przeznaczenia w pojęciu chrystyanizmu, mimo względnej swobody? Myśl ludzka stworzyć może jedno jedyne uogólnienie, a tem jest Bóg, Bóg pojęty, jako kryterium zewnętrzne, absolutne; drogą logizmów poza obłonkami barwionych słów stwarza ideał prawdy — Boga.

Każde z tych pojęć mogłoby zachować względną metodyczną wartość, gdyby pozostało własnością indywiduum i przez nie zostało skombinowane, jako praktyczny środek orientacyjny z całą tego świadomością. W chwili jednak, gdy ubierają na się togę powagi naukowej t. j. powszechnie obowiązującego prawidła, zaczyna się ich zabójcza działalność. Wpływ sugestyi wzajemnej jest skutkiem społecznego pożycia i tłum też podatny jest na nią najwięcej. Wielcy mężowie są jej podobnie ulegli, jak i najmniej oświecony osobnik, tylko w innym kierunku, są bowiem gradacye i hierarchia w układzie sugestyonujących nas pojęć. Wyrazem najlepszym tego jest postulat idealistyczny Münsterberga, żądający od filozofii układu form idealnych w stopnie hierarchiczne.

Idee metafizyczne rozprzestrzeniają się na wszystkie kierunki współżycia i władzy, zależnie od warunków ekonomicznych, określających stopień wychowania. Wychowanie człowieka jest zasadniczym fundamentem życia. Ono kształtuje i ma zadanie zbudować szkielet, który ciąg momentów ubierze w ciało.

Max Stirner rozważając bieg życia ludzkiego, dzieli je na trzy części. Pierwsza to okres przyjmowania nakazów (wychowanie), druga — okres tworzenia idei (młodzieńczy), a trzecia okres męski — realizowanie ich. Podział ten, przyjęty też przez Nietzschego, jest do gruntu sztuczny. Nie podobna bowiem ogarnąć wpływu, jaki wywiera ów okres dzieciństwa na całe nasze życie przyszłe i na wyzwolenie w okresie młodzieńczym, co jest zresztą po dzieciństwie przeżytem przez każdego z nas niemożliwością. Możemy się szarpać i rzucać podobni do ryb z wody wyjętych, lecz nie odrzucimy nigdy treści, zaczerpniętej w dzieciństwie z krynicy tradycji. Potęga sugestyi jest lekceważona; wzięwszy bowiem pod uwagę okres tworzenia się kojarzeń, zachodzący w dzieciństwie, nie zaprzeczmy, iż jest on podstawą wszelkiego dalszego rozwoju. Dlatego w podziale Stirnerowskim tkwi zasadniczy błąd, wskazujący, iż twórca skreślił go oderwanie, bez uwzględnienia psychicznego podkładu i faktycznego rozwoju człowieka.

Wychowanie młodych pokoleń polegać winno na znajomości zasad rozwoju zdolności poznawczych. One są bowiem ośrodkami budzącej się etyki i możliwości a co zatem idzie i czynu celowego.

Wychowanie zaś dotychczasowe ulega wpływowi społecznych instytucji i wspomnianych straszaków metafizycznych, dokonywujących gruntownej zmiany w psychicznych zdolnościach, — i wskutek tego krępuje wolność poznawczą. Gotowa forma, wraz z doświadczeniami ludzi innych podawana, jako dorobek kulturalny, zabija wszelką możliwość życiową i mocą sugestyi władczej bywa wpajana młodemu człowiekowi w formie gotowego nakazu czy też prawa. Wówczas nakaz staje się treścią, lecz treścią władczą, niedopuszczającą do żadnych skojarzeń myślowych; nie przedstawia ona wartości, nie może być odczuta, ani zrozumiana, kierując postępkami ludzkiemi mechanicznie. Z wolą nic wspólnego nie ma, ani też nie wpływa na rozwój indywidualnych chceń, popycha ku ołtarzom boga, czyniąc człowieka podatnym na wszystko, igraszką mglistych i bezbarwnych dłań pozorów rzeczywistości.

Wychowanie człowieka współczesnego to pasmo tyranii, i gdyby było nie wiem jak dalece „postępowe“, zawsze pozostawia za sobą skarłony typ heloty lub wierzącego skeptyka. Ten ostatni jest materiałem rewolucyjnym, skazanym na zatracenie w samym już założeniu. Niemożliwe jest dlań przystosowanie się do obecnych warunków, stracił bowiem przedmiotowość swych religijnych uczuć. W przyszłym marzonym ustroju też żyćby nie mógł wskutek odmiennej organizacji psychicznej i braku przystosowania, życie jest dlań męką, a on niem

gardzi, jako czystej krwi pesymista — pozostaje więc prawie że bezcelowa walka, której finałem samozatrącenie.

Nauka, filozofia nie jest treścią życia. Książka, którą czytamy, nie może nigdy dać nam niesfałszowanych, czystych przeżyć, po pierwsze dlatego, iż jest ułamkiem jeno ich uzewnętrznieniem, formą o wartości, podobnej do metafizycznych spekulacji; treść ukryta jest w duszy twórcy i dlatego rozumieć znaczy mieć odpowiedniki tak formalne jak i treściowe, empirycznie nabyte. Rozumienie jest nietylko dążnością ku identyfikowaniu, jak chce Bergson lub Weininger; w tem znaczeniu jest objawem wspomnianej religijności uczuć i poznania. Lecz w znaczeniu, w jakim powszechnie powinno być użyte, jest kojarzeniem cech wspólnych danemu osobnikowi z innym. Tą drogą dochodzi człowiek do pojęcia ludzkości i współżycia. Dziecko dopóty nakazu racjonalnie usłuchać nie może, dopóki go nie zrozumie tj. nie nabędzie odpowiedniego materiału, zdatnego do skojarzeń z postulatami mu stawianym.

Z chwilą, gdy żyć mocą własnych psychicznych zasobów przestajemy, zmieniamy się w mechanizm niewolniczo uległy, zdążający do ciągłego utożsamiania się. Tu też rozplenia się kwiat, wyrosły bujnie na społecznym bagnisku — owcze pozycie. Bunt jest reakcją wewnętrzną, indywidualną, przeciw takiemu rozumieniu, a jego wykładnik, czyn, niszczy treść, przeciwstawiającą się ewolucji życia osobniczego i realizowaniu swoistych, istotnych ideałów. Nie może być mowy o buncie, stanowiącym hasło mas, byłby on bowiem znów religijnym objawem, fanatyzmem szkodliwym podobnie, jak wszelki dogmat i prawo. Jedyne treść, odpowiadająca formalnemu ideałowi, stanowiącemu istotną część naszej duszy, treść zróżniczkowana, może stwarzać możliwości. Pojedyncza impresja odrywa się od całokształtu wrażeń, bogatsze dopiero doświadczenie buduje formę, ideał, a więc możliwości, — a za tem idzie wysiłek woli i realizacja czyli wypełnianie jej coraz to nowym materiałem przeżyć, wyłącznie do jej skompletowania przeznaczonym. Tu są też narodziny czynu twórczego.

Geneza tedy buntu kryje się w łonie żądzы poznawczej, żądzы realizowania własnych form, w pogoni i nieustannej walce o pełność życia. Bezowocnym zaś jest bunt człowieka z duszą niewolniczą; pozorne wyzwolenie nie da mu ukojenia a wtrąci go w ciągłą wątpliwość, tradycja bowiem posiada olbrzymią władzę nad umysłami, które wkroczyły w zaraniu życia w jej progi. Na barkach każdego z nas ciężą wieki, ich twórczość i grzech. Wyzwolenie połowiczne, którego przedstawicielami są wszyscy ludzie, nagradzani szyderym uśmiechem

za życie praktyczne niezgodne z poglądami, — jak Tołstoj — ludzie o jasnowidzącej duszy, sięgającej w głębię trzew ludzkiego nieszczęścia i słabości, są z góry dla życia straceni. Głośno się mówi o niedoświadczeniu życiowem twórców; przedstawiają oni typ „człowieka wyższego“, jak powiada Nietzsche, przeznaczonego na zagładę. Nie przeczuł jednak ów potężny duch nowobudzącego się człowieka, iż wykpiwany przezeń element rewolucyjny jest przedstawicielem tego typu i to najwybitniejszym. Rewolucjonista szczerzy musi odczuć rozdźwięk wewnętrzny swych celów i konieczności; jest on człowiekiem, stojącym nad przepaścią, z braku swoistych możliwości skazanym na byt przejściowy.

Z połowicznego rozstrzelenia woli, dość powszechnego u nas, wyradza się abulia — bezwola — i jej skutki, jakoto: uwielbienie bogów w kształtach rozmaitych, jużto w formie materializmu dziejowego, jużto krańcowego idealizmu, a w ostateczności następuje odwrót do tradycyjnie uznanych i najwygodniejszych dla umysłu, nieposiadającego zdolności poznawczych. Stąd ten ciągły zawrót ku katolicyzmowi.

Jest to objawem nie słabości, lecz tragiczmu życiowego. Cienie zmarłych artystów i myślicieli wieleby o tem powiedzieć mogły. Każda myśl nowa okupiona cierpieniem ciągłej żądzy, jak to miało miejsce z Nietzschem i Schopenhauerem — jest tragicznem odczuciem niemocy.

Człowiek współczesny, wychowany w atmosferze religijności, ani na moment nie przestaje czuć i działać po chrześcijańsku, zabijając myślą jednego Boga, jedną swoją odwrotność, by stworzyć drugą.

Najpotężniejsze żądze uzewnętrznione czyli ubóstwione są tworami tęsknoty ludzi słabych. Ideologie metafizyków współczesnych i przeszłych, systematy filozoficzne są tworzone w tragicznych momentach przechodzenia od boga do boga. Filozofia Schopenhauera jest wołaniem człowieka niemającego wyjścia z matni życia o pomoc, okłamywaniem samego siebie, w celu znalezienia złudnego chociażby ukojenia w konieczności zidentyfikowania się z czemś poza sobą, z wizją rozgorączkowanego mózgu, w tęsknocie za spokojem i ucieczką od pustych pól i zaoranych radłem zwątpienia łąk o kwiatach wymarłych. Twórca dzisiejszy stawia na kartę życie i wiecznie na ustach niewypowiedziana drga mu wątpliwość Hamleta: „Być albo nie być“. Albo będę „ja“, albo znajdę ukojenie w bóstwie. Alternatywa ta jest dziś przewodniem zagadnieniem życia osobniczego. Nastał też czas katastrof duchowych, rozgrywających się w cieniu indywidualnych rozmyślań, i tłumny odwrót od ateistycznych myśli ku ołtarzom bogów. Miast Jehowy bu-

dują tysiące złotych cielców. Rodzą się teorie siły i przemocy w jednym gnieździe z religią słabości. Bożki te jednak są bardziej kruche wraz z swą oderwaną siłą teoretyczną od praktycznej mocy chrystyanizmu. Tragedya święci urodzaj.

Gromady artystów i myślicieli stoją przed ekranem zagadkowego sfinksa z niemilknącem pytaniem, co jest „ja“? A odpowiedzi niema, bo przedmiotu zapytań niema. Istnieje on wówczas dopiero, gdy pytać o niego nie trzeba.

„Ja“ przeniesione po za nas, rzutowane w przestrzeń, odnajduje siebie łatwo w formach zewnętrznych każdej religii. W pogoni za odnalezieniem jaźni, rzucamy się w objęcia wiar i zabobonów; przyjmują one nas radośnie, jako marnotrawnych synów, my zaś po krótkiej walce wracamy do błogiej beztroski i letargicznego snu, będącego cechą wszystkich pobożności. Tragiczny moment uświadomienia sobie pustki wewnętrznej i konieczność ciągłego jej zapełniania, ciągłej pracy i twórczości istotnej, to morze, na którym jeno zręczny i silny sternik łódź życia utrzymać potrafi.

Samo dojście do świadomego kształtowania momentu wymaga wyzbycia się tradycji. Nie odrzucam racji istnienia dobytku kulturalnego wieków, lecz on raczej i jego bogactwo winny stać się środkiem a nie celem w drodze ku odnalezieniu jaźni. Władczym czynnikiem być nie powinien, gdyż wyłania się zeń zabójczy jad, tłumiący normalny rozwój indywidualum i jego władze poznawcze. Rozwój indywidualum po okresie dzieciństwa, to ewolucya drogą najmniejszego oporu a więc bezmyślność, a jeśli już myślenie, to wtłoczonemi formami i doświadczeniem innych ludzi, — co jest równoznaczne z atrofią władz umysłowych.

Na drodze ku człowiekowi przyszłości spotykamy okaleczone dusze, typy przejściowe, niezdolne do wykucia nowego kształtu ducha. Wychowanie ma ogromne znaczenie w oczyszczaniu bagna tradycyjnych kłamstw i kuglarstwa słownego. Jest ono prawie że najważniejszym środkiem stworzenia typu wolnego indywidualum, żyjącego właściwą treścią.

Środkami wychowawczemi mogą być jedynie bodźce w formie zjawisk, bez nakazu i określeń podawane. Wychowanie, polegające na bogaceniu treści i otwieraniu coraz to nowych, szerszych, i bujniejszych w doświadczalne możliwości widnokręgów, swobodnemu poznaniu. Ułatwianie i dostarczanie materiału poznawczego. Forma bez treści powstać nie może, lecz niech ta forma sama się wyłoni, niech ideał stanie się ogniskiem życiowem istotnej woli, przynależnej danemu osobnikowi, słowem, niech wola będzie z nim identyczna.



Wówczas możliwe jest zaranie wolnej twórczości i zmartwychwstanie bogactw niewyczerpanej krynicy momentu, w którym jedyna prawda życia. Tragedya niemocy niechaj się przeistoczy w ból i mękę ciągłego zdobywania nowych prawd, w świadome uznanie jaźni za jedyny miernik wartości wewnętrznego piękna, a zabłyśnie świt krwawą łuną wschodzącej zorzy nowego człowieka, hetmana i władcy świata.

On będzie wszystkim a w nim ból; ból nieskończoności i ciągłej pracy znoonej w wieczność. Radością życia będzie dlań każdy własny, świadomie przeżyty moment, a nie zazna spokoju i ciszy w ciągłej walce i zdobywaniu siebie.

Nie będzie on bogiem dla siebie, albowiem bóstwo byłoby w nim zbrodnią, a będzie tylko „ja”, to jest wolą i chceniem po za czasem i przestrzenią, poza wszechświatem, oderwany od złud i mamideł, silny i potężny dzierząc wszechświat w sobie.

*STANISŁAW BACZYŃSKI.*

# PRZEGLĄD.

„REWINDYKACYE WŁASNOŚCI NASZEJ“.  
DZIEŁO LUDWIKA STASIAKA O WICIE STWOSZU.

**W** dziedzinie historii sztuki ukazała się wysoce interesująca książka: „Rewindykacye własności naszej“ p. Ludwika Stasiaka. Temat wspaniały, układ pracy kolosalny, znajomość materiału gruntowna, deklamacyjność, przechodząca czasem w zaściankowość, styl zbytnio fejletonowy, namiętna żywość, polemiczna nie licząca się z dobrym smakiem, wielka bystrość spostrzeżeń i wyciągania wniosków, szowinizm, przechodzący w negację niemieckiej kultury nie tylko u nas, ale nawet u Niemców, — oto ogólna charakterystyka zewnętrzna tej książki, która mimo usterek, pozostanie nie tylko bardzo ciekawą ale i bardzo doniosłą. Dać bowiem może impuls do nowych badań nad przedmiotem, uważanym za wyjaśniony raz na zawsze.

Główną tezę dzieła jest, iż Wit Stwosz pochodził z polskiej rodziny z Krakowa: on stworzył kulturę artystyczną nie tylko nam ale i Niemcom, którzy przed osiedleniem się jego w Norymberdze mieli kulturę barbarzyńską. On, *lux ex oriente*, zapalił pochodnię, do dziś jasnym płomieniem świecąca.

Autor odsłania częstokroć w drastycznych wyrażeniach historię niesłychanego niedoceny sił własnego narodu przez naszych historyków sztuki i cywilizacji: Sokołowskiego, Lepszego, Tomkowicza, Koperę i t. d. Ich to badania sprawiły, że Stwosz i jego rodzina to Niemcy; arcydzieła, jakich nam może Europa pozazdrościć, mógł stworzyć jeno Vischer. (Bo czyżby Polacy byli tak zdolni?); obrazy, spiż, rzeźby, kościoły, muszą więc nosić pieczęć norymberską lub górnofrankońską.

Poryw wezbranego uwielbienia, płynącego z głębokiej wdzięczności dla Niemców, wzniosł się w ustach Sokołowskiego do psalmu: „Cześć niech będzie przybyszom, co przyszedłszy z obcych krajów wnieśli na surowy grunt naszej ziemi — kulturę. W szczytach wież krakowskich i w basztach, w tem wszystkim, co nam drogie, pozostał ślad frankońskiego wpływu. Stare mury mówią o ich zasługach i dzwony kościołów głoszą i głosić będą ich chwałę.“

Nie oburzam się wraz z p. Stasiakiem. Zbyt pochopnie wypowiedziane słowa, tak przez Niemców skwapliwie zużytkowane, błyszczą piękną polską cnotą samozaparcia się i uwielbienia piękna, bez względu, z czyich rąk ono wychodzi. Chyba w całej literaturze niemieckiej nie masz względem nas szczerości tak pięknej ....i głupiej“, dorzuca p. Stasiak.

Może nie zasłużyli na tak dosadną ocenę członkowie Akademii Umiejętności i uczeni historycy, iż oparli się na skromnych okruchach, jakie sami znaleźli — doszli do odmiennych wyników, niż obecnie autor. Nie trzeba zapominać, iż badania ich częstokroć niepewne ustaliły bądźco bądź

pierwszy ślad wytycznej drogi. Szeregiem silnych argumentów p. Stasiak przekonywa, iż Wit Stwosz pochodził z polskiej rodziny, która szeroko i gęsto zamieszkiwała nie tylko Polskę i inne słowiańskie kraje, jak Czechy, Morawy, Słowaczczyznę, ale nawet Niemcy i Siedmiogród. Nie mając dowodów piśmiennych, trudno dziś orzec, czy sam się uważał za Polaka; w owych czasach uświadomienie narodowe prawdopodobnie budziło się dopiero. Człowieka, który dla interesów przeniósł się z rodziną z Polski do Niemiec, dość trudno uważać za typowego przedstawiciela naszej kultury.

Wychowany w domu na francuzkiej sztuce Parlerów i twórców pierwszych sarkofagów Łokietka, Kazimierza i Jagiełły, idzie dla dokończenia studyów, wedle ówczesnych wymagań cechowych, w szeroki świat. Dwa ogniska płonęły wtedy w Europie: Italia i Flandrya. Nie mając żadnych piśmiennych zapisków, musimy kwestyę wpływów zagranicznych oprzeć na całej działalności artystycznej mistrza. Być może, iż zawadził na bardzo krótko o Włochy, czegoby niejakiem poparciem był św. Roch w Ognisanti we Florencyi, odkryty przez francuza Ludwika Reau. Z reminiscencyami renesansowemi mógł się zaznajomić także na północy od włoskich artystów, którzy zalewać poczynali całą Europę. Natomiast za pewnik może uchodzić łączność jego ze sztuką flamandzką przez typy i zamiłowania jego do nadmiaru szat i draperyi, w których niejednokrotnie ginie kształt ludzki. Łącznie z tą epoką powstają jego sztychy. Zależność od pierwowzorów widoczna nie tylko w temacie, w bogactwie typów i draperyi, ale i kompozycyi. Proszę zestawić sztych „Wskreszenie Łazarza” z obrazem Ouvatera tej samej treści. Nie godziłbym się jeno na podział tych prac, na lata młodości i okresu dojrzałego. Bynajmniej nie wydają mi się gorszymi jedne od drugich. Sam materiał twardy nie poddaje się tak, jak ołówek, węgiel czy pędzel. Sztychy np. genialnego rytownika Albrechta Dürera w stosunku do jego obrazów są twarde; niektóre niedołączone — niejedne późniejsze ustępują pierwszeństwa młodzieńczym. — Kwestyę wykształcenia Stwosza na dziełach flandryjskich, mogą rozwiązać obrazy na Wawelu i w St. Wolfgang, o ile da się stwierdzić podpis Wita Stwosza. Byłby to „metr” do dalszych poszukiwań.

Wit Stwosz jest pomostem, rzuconym z Flandryi przez Niemcy do Polski. Tu w Krakowie stworzył kulturę artystyczną, która promieniowała nie tylko na dzielnicę Polski, ale i po za jej granice na Węgry, Czechy i Niemcy. Ile pierwiastku polskiego rodzimego w tem było, niestety, stwierdzić się dziś nie da. Sam wygląd „sarmackich” twarzy jest tylko spostrzeżeniem i to dzisiejszem. Potężna fala renesansu starła niemiłosiernie zbyt wcześnie ślad „rozwiniętego naszego gotyku”, który mógłby być znakomitą nitką Aryadny. To jednakże można stwierdzić, że w Polsce nie stworzył tylu indywidualnych artystów, jak w Niemczech, z którymi tworzy całość południowej sztuki niemieckiej.

Rozumiem p. Stasiaka — iż patrząc na olbrzyma, tworzącego genialne dzieła przez lat 70 — na kolos, dokoła którego wyrastały coraz to świeże latorośle — mógł zawołać: *Lux ex oriente*, stworzył kulturę artystyczną Niemcom. Lecz twierdzenie to jest paradoksalne. Kultury jeden człowiek narodowi dać nie może. Zdoła natomiast już istniejącą podnieść bardzo wysoko.

Ówczesne Niemcy nie były krajem dzikim, pustynnym; życie średniowieczne płynęło wartkim prądem do Węgier, Flandryi, Francji i Włoch. Wymiana kulturalna w wieku XV i XVI była szybsza i gwałtowniejsza, niż po tym okresie, gdy nowe, potężne arterie życia odkrył Krzysztof Kolumb.

Ówczesna Polska rodzimej kultury nie miała, co wynikało z warunków jej geograficznego położenia i ukształtowań politycznych. Czerpaliliśmy hojną dłońią ze źródeł zachodu i jeśli z czego mamy być dumni, to z tej wewnętrznej potrzeby zaspokojenia artystycznego głodu, która wydała wspańnię kościoły, gmachy, obrazy i — Wita Stwosza.

Natomiast mieli Polacy już wybitną swą indywidualność duchową, swą odrębną i charakterystyczną psychikę, która w sztuce łatwo mogła się wypowiedzieć, jako bujny temperament, wielkie poczucie akcji dramatycznej, pewne rozwichrzenie i nieokiełznanie. Tę wielką żywość, której w żaden sposób w naturze niemieckiej dopatrzeć niepodobna, Wit Stwosz posiada w stopniu uderzającym, ona stanowi jego ważny rys charakterystyczny, dostrzeżony z łatwością i przyznany przez Niemców, jak np. przez Bertolda Dauna.

Czy tedy Stwosz wnosił z sobą „kulturę” — ryzykownie powiedzieć — właściwiej byłoby rzecz określić w ten sposób, że przez niego weszły do Niemiec elementy duszy polskiej, i rzeczywiście przysły historyk wzajemnego oddziaływania na siebie Polski i Niemiec, będzie się musiał liczyć z faktem wybitnej polskości temperamentu Wita Stwosza.

Wpływ jego na życie narodowe Niemiec jest dziełem raczej psychiki niż idei, zrodzonej w genialnej głowie jednostki lub w tradycjach naszego narodu. Niejedna cecha sztuki Riemenschneidera, Schöngauera, Albrechta Dürera i innych, wspólna z Witem Stwoszem, jest tego rodzaju, że niemożna kłaść jej jedynie na karb uzależnionego naśladownictwa naszego mistrza. W tych czasach (cechów), gdy własność artystyczna nie była tak bardzo zróżniczkowaną na indywidualności, gdy krytyka nie dopatrywała wszędzie kradzieży pomysłu, wykonania i układu — panowały typy obrazów, od których lepszego wykonania zależne było uznanie dla artysty. Nie zmniejszy zatem wielkości Albrechta Dürera podobieństwo „Sądu” jego ram, ze sceną „Różańca” Stwosza, jak tego ostatniego — zestawienie z majstrem kolońskim Stefanem, czy jakimkolwiek innym flamandczykiem.

Trudno przypuścić wpływ naszego artysty na wszystkie Ogrójce, jakie powstały od Krakowa aż po Hiszpanię i Włochy — a przecież podobne są one częstokroć bardzo do siebie.

Być może, iż nauka odkryje pierwowzory Stwosza — wielkości jednakże jego nie zmniejszy. Podobnie Szekspir nie zmałał, choć go poznano jako ojca złodziei literackich. Stwosz zostanie wielkim, „największym plastykiem północy” „Donatellem północy” — lecz żeby przerósł Donatella, a tem bardziej Michała Anioła, żeby zestawienie Chrystusa Stwosza z Wenus Milońską i Apollinem, „którzy są czarowni swą łatwą pozą” (!) było krzywdzącem dla naszego majstra (str. 236) — w to nie uwierzymy. Są to egzaltacye, które mogą wywołać tylko uśmiech, jest to owo „szufladkowanie”, na które gromy rzuca sam p. Stasiak (str. 223). Wielkości Stwosza nie powiększymy obniżeniem wartości sztuki greckiej, renesansu, Albrechta

Dürera, Hansa Suesa z Culmbachu, odmówieniem Niemcom kultury artystycznej, przesadnym w porównaniach uwielbieniem ziomka (np. Św. Anna Cieszyńska), podkreślaniami znajomości pespektywy, którą dziesiątki lat przed nim znają flamandowie — jego nauczyciele — bezmiernym zachwytem nad wykonaniem draperyi, które do pewnego stopnia są właśnie ujemną stroną Stwosza — oraz przypisywaniem mu mnóstwa rzeźb miernej wartości. Zapewne każdy twórca daje i mniej udolne prace. Gdy się jednakże nie ma żadnych danych prócz podobieństwa między niemi, rozsądniej jest przypuścić „ucznię i wpływ“ — zwłaszcza, gdy się przypomni „warsztat“ rzeźbiarza, gdzie było zatrudnionych bardzo wielu czeladników. Zgadzać się najzupełniej z p. Stasiakiem, że ilość dzieł uznanych już oraz tych, które można mu przypisać — bynajmniej nie jest za wielką na lat 70 twórczości w kompanii pracowników. Rubens, Van Dyck i Turner mogą dać świadectwo płodności artystycznej, przechodzącej wyobrażenie.

Wielką wadą, umniejszającą powagę tematu, jest olbrzymi szowinizm, bijący z każdej kwestyi, gdzie autor ma sposobność zaznaczyć swą niechęć do Niemczyzny. My Polacy potrafimy zrozumieć pobudki autora i ocenić, czy tenże w ocenie nieprzyjaciół naszego narodu umiał stanąć ponad namiętnościami. Jednakże w obcoplemięncu, zwłaszcza Niemcu, szowinizm ten musi osłabić wiarę w prawdziwość dowodów. Myślę, że przy tłumaczeniu na obce języki autor skreśli wszelkie wycieczki, słowa obelżywe i pokpiwania ze swoich i obcych.

O wzniosłych ideach winno się mówić z godnością.

Znaczenie pracy p. Stasiaka jest bardzo wielkie. Przeprowadzona przez niego rewizya wykazała, że nasi uczeni historycy sztuki i kultury, zahypnotyzowani przez powagę nauki niemieckiej, zbyt pochopnie przysądzili nietylko Wita Stwosza ale i szereg bezimiennych arcydzieł Niemcom. Niemieccy historycygrafowie bez sprawdzenia, z szowinistycznych pobudek, nietylko przyjęli „odkrycia“ naszych, ale usuwali ślady, mogące świadczyć o polskiem pochodzeniu mistrza.

Zapomniany staję przed oczyma naszymi jako najwyższa twórczość rzeźbiarska na północy, druga obok Kopernika chluba narodu polskiego.

Dokumentami \*) rodu od r. 1181, p. Stasiak udowodnił słowiańskość i polskość rodziny Stwoszków, zaś Wita pochodzenie z Krakowa. — Dowód o ojcu mistrza, zdaniem mojem nie jest jeszcze dostatecznie przeprowadzony.

Dążność do ustalenia chronologii ułatwia badanie rozwoju talentu.

Prawdą o Vischerze wykazał autor bezpodstawność twierdzeń naszych polskich uczonych.

O ile aneksyę na rzecz Pachera w St. Wolfgang potwierdzi odcyfrowanie napisu — staniemy wobec nowego, bardzo doniosłego problemu: Wit Stwosz jako malarz.

Należy się spodziewać, iż świat uczony, który już raz w sprawie Stwosza wzniosł się do bezstronności, nie weźmie zbyt do serca ukłuc, których mu w zapędzie swoim nie szczędził autor „Rewindykacyi“ i zabierze się do wspólnej pracy przywrócenia Polsce Wita Stwosza w całym jego majestacie.

MARCIN SAMLIKI.

\*) Ogłosił je w tym samym czasie także p. Ptasnik, najgruntowniejszy badacz stosunków kulturalnych wieku XV i XVI, miasta Krakowa i Norymbergi.

## KU CZCI ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

(Jednodniówka, 1812—1912. Kraków—Lwów).

Jestem tego zdania, że pamięć bohaterów zawsze i wszędzie trzeba czcić tworem najwznioślejszej, najszczytniejszej, możliwie najdoskonalszej myśli, wyrazem najczystszej, duszę bliźnich twórczo zapładniającej miłości. Byle jak, niechlujnie, tandetnie czcić można pamięć tych „bohaterów“, na których życiu i czynach narodowi wcale nie zależy, których praca nie jest zapisana w księdze „testamentu dziejowego“.

Miał uczyć setną rocznicę urodzin Z. Krasińskiego księgą pamiątkową przy współudziale najwybitniejszych literatów, poetów, muzyków, artystów polskich, którzy naprawdę mają coś do powiedzenia o swoim „ojcu duchowym“, wydano „Jednodniówkę“ bez uczestnictwa najwybitniejszych, której treść (pomimo protestu) tylko niesmak artystyczny budzi. Niedarmo paw i papuga — jako symboliczna winjeta—figurują na okładce! „Jednodniówka“ jest przedrzeźnianiem Z. Krasińskiego. Mam przykre wrażenie, że w świątyni poezji wieszczej nakadzono dymem pieprznym „ku czci Z. Krasińskiego“...

Wnikam w treść „Jednodniówki“. Przemilczam (i słusznie) sądy o Krasińskim, wypowiedziane przez Mickiewicza, Klaczkę, Pola, Słowackiego, Vrchlicky'ego, Kvpila. Chcę wiedzieć, co i jak sądzą i mówią o Z. Krasińskim w spółczesni literaci i poeci polscy, na co się wysilają, chcąc uczcić swego Mistrza. Konwencyonalizm, pałubizm współczesnych jest tym węzłem winjetowym, który romansuje z pawiem i z papugą (o! Juliuszu Słowacki!)

Nie przeczę, że oficjalnie sztywna, wstrzemięźliwa, w stylu krakowskim „klasyczna“ przedmowa St. Tarnowskiego nikomu nie zaszkodzi na duchu. Wyznaję, że wzruszająco piękną, mocną w formie wyrazu jest szcerość Jerzego Zuławskiego. Silnie podkreślam, że reprezentantem prawdziwej poezji jest T. Świątek. — Martwię się, że H. Sienkiewicza stać było tylko na aforyzmy. — Mocno żałuję, że p. E. Balicki nie zakończył swego „wiersza“ prometejskim pytaniem: „Odpowiedz mi, Panie: czy ja jestem głupi, czy Ty?“... P. F. Hoesicka nie posądzam o to, że jest strasznie zakochany we wszystkich s. p. kochankach s. p. bohaterów, że z tego, jak kto się kocha, wnioskuje o genialności; mam tylko żal do niego za to, że nie opowiedział, w jakiej koszuli chodziła Delfina Potocka, gdy ją ujrzał król Ludwik Bawarski; byłby to „najciekawszy“ przyczynek do... genialności Krasińskiego. — J. Kallenbach sam za siebie mówi. Tak samo J. Kleiner. — A inni? Dyskretnie przemilczam... Nie wiem, kto redagował „Jednodniówkę“. Śmiem przypuszczać, że — jakiś parweniusz...

Po ukazaniu się „Jednodniówki“, nieznanemu autor wręczył mi utwór literacki z dopiskiem, że „ten utwór powinien być wydrukowany w Jednodniówce, miast przedmowy St. Tarnowskiego“. Cytuję ten utwór dosłownie.

„Umilkły hymny pochwalne. Ucichły tony marsza pogrzebowego Chopina. Wiatr rozwiął dym kadzidłowy. Hrabiowie Henrykowie ucierali łzy i nosy jedwabnymi chustami... Zapanowała cisza grobowa — cisza przed spuszczeniem trumny do dołu...“



I oto nagle, niespodziewanie przemówił biust Zygmunta Krasieńskiego, ożywiony tchnieniem marsza pogrzebowego Chopina. — Przemówił do licznie zebranej rzeszy hrabiów Henryków temi słowy:

Urządziliście duchowi mojemu piękny pogrzeb. Napawaliście ducha mego tanim octem taniej frazeologii, ostrą żółcią ostrej kastowości. Nie mam za co dziękować wam. Smutny spoczne w trumnie obojętności waszej na wielką sprawę narodu, lecz zmartwychwstanę, aby dać świadectwo prawdzie mojej naprzekór woli waszej w chwili, kiedy się ważyć będą losy narodu całego...

Hrabio Henryku! Czemu się obawiasz czynu, utrwalającego pracę wieków? Przecz-że nie chcesz się opamiętać w dniu, który nazywasz uroczystym? Czemu serce twoje nie płonie intencją poprawy, ekspiacyi?

Hrabio Henryku! Pókiż miłować będziesz li tylko marną myśl twoją, nadętą — gdyby bańka mydlana — pychą? Pókiż nadużywać będziesz Sprawiedliwości Bożej, Łaski Chrystusowej dla dobra egoizmu własnego? Pókiż łudzić się będziesz, że Chrystus jest poplecznikiem twoim?

Hrabio Henryku! Czemu się nie zbratasz z maluczkimi braćmi twymi? Czemu w dniu, który mianujesz uroczystym, w imię moje nie płoniesz ofiarą czynu, czemu nie nakarmisz głodnych, nie przydziejesz nagich, nie pocieszysz strapionych? Ażali nie wiesz, że Pankracy w imieniu milionów głodnych tylko chleba od ciebie żąda?

Biada ci, biada, nieszczęsny hrabio Henryku! Po twoim trupie przejdzie Pankracy — zwycięzca! — Nie zasłużyłeś na interwencję Chrystusa!...

Lecz o dziwo! Hrabio Henrykowie nie słyszą wezwania „mistrza” swego. W takt marsza pogrzebowego dumają o tem, ile dochodu mieć będą w r. 1912., gdzie, jak, w czyjem towarzystwie się zabawią po smutnych dniach uroczystości“...

Komentarz chyba jest zbyteczny.

ALF.

## WYSTAWA TOWARZYSTWA „RZEŻBA“.

Po usunięciu barwnego kramu wystawy sztuki kościelnej powrócił Salon Tow. P. S. P. do normalnej swej fizyognomii, przeważnie sennej i miłującej powagę a zajmującej tylko tu i ówdzie.

Na porządku dziennym prócz zwykłej wystawy Tow. P. S. P. jest wystawa „Rzeźby“.

Ilościowo jest wcale nie bogata. Tłómaczy się to okolicznością, że w ostatnich miesiącach konkursy kościelne i jubileuszowe odwróciły w dużej części uwagę i wysiłki rzeźbiarzy od gotującej się wystawy. Nie brak dzieł ciekawszych, między innymi rzeźby Włodzimierza Koniecznego i Nadelmana. Uderzającą jest z jednej strony różnica ustrojów artystycznych tych rzeźbiarzy, gdy z drugiej strony obaj wychodzą z tych samych założeń, wyłącznie niemal operując wartościami przestrzennymi — i obydwaj choć każdy w innem znaczeniu nawiązują do antyku.

W efekcie też różnią się zasadniczo.

Konieczny nauczył się od antyku greckiego i egipskiego dwu rzeczy:

najpierw, że rzeźba jest absolutnym tworem przestrzennym, a rysunek światłocieniowy tylko podkreśla treść wyrażoną środkami przestrzennymi; a potem, że punktem wyjścia dla rzeźby musi być materiał (moment ztracony we większej części przez rzeźbę muzealną). Nauczywszy się tych rzeczy, zdobywa przez to architektoniczno-rzeźbiarskie spojrzenie na naturę i studjuje ją samodzielnie.

Na tej drodze dochodzi osobiście (jak dotychczas) w portrecie do wielkiej siły wyrazu środkami pozornie ubogimi.

Wyraz jego „Ciszy“ tkwi nie w tym, lub owym anegdotycznym, literackim szczególe, lecz w budowie całości masy tak, jak charakter gotyku tkwi we wstępującej masie, charakter architektury romańskiej w skupiającej konstrukcji kołowej — a nie w gotyckich kwiatonach, lub jakimś fryzie.

Nadelman natomiast nawiązując do greckiego antyku ogranicza się do wyrafinowanej interpretacji jego przestrzennych walorów — interpretacji doprowadzonej często do świadomej karykatury (figurka kobieca).

A dzieje się to tym sposobem, że dla Nadelmana naturą i wyłącznym przedmiotem godnym obserwacji jest antyk i ideał antyku.

Mamy tu do czynienia oczywiście z niepospolitą robotą czysto mózgową — a niepospolitą dlatego, gdyż w przeciwnym razie mielibyśmy do czynienia z waryacjami na temat antyku, a nie z wyrafinowaną niemal do końca konsekwentną jego interpretacją.

Mówię „niemal“, gdyż konsekwentnym do końca autor „Figurki kobiecej“ nie jest.

Nadelman bierze za punkt wyjścia Wenus Medycejską i interpretuje ideał kobiecy, który ona reprezentuje, doprowadza jego cechy w torsie do pełni graniczącej z karykaturą. Nie przeprowadza jednak potężnych łuków torsu konsekwentnie idąc za daleko w akcentowaniu zaniku kończyn i głowy. Dlatego figura ma nie swoje stopy i ręce i karykaturalnie obcą głowę.

W zasadzie to samo odnosi się do pięknej „Głowy kobiety“, tylko, że tu nie zaznacza się tak nieubłagane zimne eksperymentowanie autora.

Dunikowski wystawił jedną tylko, ale za to pełną wyrazu figurkę Madonny w brzoźnie. Cały akcent w tej rzeźbie, jak to często bywa u Dunikowskiego, spoczął na pięknej prawdziwie głowie Madonny, reszta traktowana jest w sposób szkicowy (n. p. linia draperyi opadającej ku ziemi odchylona jest na wewnątrz, co sprzeciwia się w tym wypadku prawu ciężenia). Olbrzymia i wyjątkowa indywidualność tego artysty nie wystąpiła tym razem reprezentacyjnie. Znać, że wystawił tyle tylko, żeby nie świecić nieobecnością.

Nadto oglądać można medal ś. p. Maryana Sokołowskiego roboty Henryka Kunzeka w brzoźnie. Z zalem jednak zauważyć trzeba, że stracił przez redukcję menniczą wiele ze swych niepospolitych zalet.

Znakomite są szkice Ludwika Pugeta, ale tylko jako szkice. Doskonałe w ruchu i charakterze są: figurka „Na Błoniach“ i szkic portretowy p. Boznańskiej, z wielkim dowcipem chwytającą widmowe rysy malarki.

Stanisława Popławskiego „Walka“, dobra jako masa kompozycyjnie w sobie skupiona, razi jednak brakiem spokoju w przeprowadzeniu i chybionymi realistycznymi usiłowaniami.

Rzeźby Jana Nowaka nie świadczą prawdziwie o wartości swego autora, znać bowiem na nich dorywczość i niepożądaną szkicowość.

Bronisława Pelczarskiego grupa dzieci p. t. „Modlitwa“, ujmująca i miła w szczegółach, ale nie związana kompozycyjnie w całość.

Kazimierzy Małaczyńskiej portret w marmurze „Dobrusi“ gra subtelnym światłocieniem i jest bardzo charakterystyczny dla prawdziwie kobiecej twórczości autorki.

Antoni Madeyski i Edward Wittig swymi portretami osób wysoko urodzeniem postawionych wnieśli do Salonu ton niepokojący, można było nawet słyszeć gwarę francuską; przytem mimo marmurowych pozorów, są to biusty wygniatane w glinie.

„Impresya“ Gwozdeckiego uderza, jak wszystkie niemal jego prace, eksperymentalnością i przypadkowością, talent to, umyślnie dający brawurę zamiast kompozycji obmyślanych.

Typ kobiety bawiącej się rzeźbą reprezentuje nadal p. Luna Drechslerówna, zaś „medaliony“ p. Sługockiego dziwią się sobie, że się na wystawie znalazły.

W całości wystawa czyni wrażenie chwili przejściowej, intermezza pomiędzy aktami bogatszymi, wspanialszymi.

Usunięcie „Ledy“ Henryka Hochmana ze względów snadź moralności publicznej świadczy, że Kraków wiernie powraca do czasów „Głów do pozłoty“ i „Wielkiego świata Capowic“.

EDWARD HOSZOWSKI.

## AMBASADA MONIZMU W KRAKOWIE.

Znakomity chemik, Wilhelm Ostwald, wypowiedział kiedyś zasadę, że uczony, którego władze umysłowe przytępiła starość, powinien wynaleźć sobie inne, łatwiejsze pole do pracy. W myśl tej zasady rozpoznał Ostwald uprawiać filozofię przyrody i wkrótce stał się główną obok mocno przestarzałego Haeckla podporą monizmu niemieckiego. Stanowisko Ostwalda jest objawem pewnego lekceważenia filozofii, ale kompromituje tylko jego i towarzyszy. Emerytowany chemik lub zoolog, jeżeli nie jest zbieraczem marek pocztowych, nie gra w szachy, nie chowa kanarków itp. jest rzeczywiście pożałowania godną istotą. Jeżeli lubi trunki, nie może zostać abstynentem, jeżeli myśli trzeźwo — esperantystą. Szczęście dla niego, jeżeli urodził się Niemcem: może bezkarnie zostać monistą, a wtedy nie tylko będzie miał czem zabić czas, ale zyszcze w dodatku sławę i będzie mógł kandydować do parlamentu z „kuryi monistycznej“, choćby nawet system kuryalny nie istniał już w jego ojczyźnie.

Dr. Augustyn Wróblewski, były chemik, nie ma władz umysłowych przytępionych skutkiem starości, ponieważ jest człowiekiem jeszcze prawie młodym, pełnym temperamentu. Znają go dobrze wszyscy jako jurnego propagatora czteroprzymiotnikowej abstynencji, wolnej miłości, „czerwonej religii nadwyznaniowej“, jako organizatora strejków szkolnych, pogromcę siedmiu grzechów głównych i siedmiu Sakramentów. Obecnie wystąpił Dr. Wró-

blewski w nowej a bardzo stosownej dla niego roli ambasadora monistycznego w Polsce i, zapewniwszy sobie współpracownictwo hr. Maryi Colonna Walewskiej oraz prof. Benedykta Dybowskiego, założył w Krakowie miesięcznik p. t. „Przyrodniczy pogląd na świat i życie“.

Nowe pismo przedstawia się niezwykle interesująco z psychologicznego punktu widzenia. W artykule wstępnym obiecuje redakcja propagandę przyrodniczego poglądu na świat, krytykę religii i klerykałizmu i styl naukowy. Obiecuje również odrzucać wszelkie poglądy przeciwne rozumowi. W jaki sposób spełnia te obietnice? Najlepszą odpowiedzią na to pytanie będzie garść przytoczeń, zaczerpniętych z pierwszych dwóch zeszytów pisma.

„Wiedza jest prostszą i łatwiejszą dla dziecka i chłopca, niż mity religijne“.

„Myślenie i czucie bez ustroju mózgowo-nerwowego jest niemożliwym, a więc niema istot duchowych i dusz myślących i czujących, a istniejących oddzielnie od ciała“.

„...Moralność jest względna i ewolucjonizująca (sic!), opiera się ona na popędach, a więc na objawach fizycznych i chemicznych naszego ustroju“.

„Nie widzę i nie przypuszczam innego rozstrzygnięcia „zbawienia“ dla ludzi, jak impet rozwojowy w blasku potęgi i miłości, zabezpieczony rezygnacją“ (sic!)

„Jeżeli Bóg jest, a więc jest naturalny, inaczej bowiem nie byłoby go wcale“.

„Duch człowieka jest to najistotniejszość istoty ludzkiej. Dusza — to funkcja całego aparatu psychicznego, działanie całego systemu mózgowo-nerwowego. Duch — to jaźń psychiczna (sic!) człowieka, jego najsamiejsza samość, a zarazem jest to coś, co stanowi łącznię terażniejszości człowieka z jego przeszłością i przyszłością, jego ciągłość istnienia jednym słowem“.

Krytykę religii i klerykałizmu przeprowadzają nasi moniści z podziwu godną stanowczością.

Na uwagę zasługuje zarówno logiczna jak psychologiczna strona ich wywodów. Oto n. p. hr. Walewska z poświęceniem zwalcza kult Skargi, Kordeckiego i Królowej Jadwigi. Według niej macochiada dowodzi dostatecznie, że złupienie Jasnej Góry przez Husytów w r. 1430 było symulacją Paulinów, którzy sami się nawzajem mordowali, obraz cudowny sponiewierali, aby wymusić na Jagielle hojne ofiary. Z tego znów wynika, że zeszłoroczne wypadki jasnogórskie były „ściśle na przeszłości wzorowane“, że klasztor w Częstochowie był zawsze siedliskiem zgorszenia — a więc Kordecki nie może być bohaterem narodowym. Królowej Jadwigi winą był katolicyzm, a jedyną zasługą to, że w porę umarła, bo „gdyby była ona o jeden rok dłużej żyła, byłiby Krzyżacy Polskę niechybnie w perzynę obrócili“. Skarga był zbrodniarzem i zgubą Polski, a nawet... „zasługa jego wobec literatury polskiej maleje prawie do zera...“ Ponieważ dzięki jego wpływom spalono mnóstwo dzieł, ważniejszych niż jego dzieła. Tyle hr. Walewska. Jakiś znowu Glaubicz, chcąc dać przykłady nietolerancji duchowieństwa katolickiego, przytacza uchwałę synodalną przeciw Żydom z roku... 1420.

Niejaki Mondschein tłumaczy pojednanie się Słowackiego z Kościołem „rozkładem prawidłowych funkcji mózgowych“ itd. itd.

Nieubłagana walka z tradycją polską jest widocznie jednym z celów nowego pisma, celem nie wymienionym wprawdzie w zapowiedzi, ale za to tem miłszą niespodzianką. Natomiast sympatycznym echem dawno zapomnianej tradycji terminologicznej jest definicya Dr. Wróblewskiego: „Dusza jest sumą władz psychicznych człowieka, do których należą: myślenie, uczucie i wola“.

Zająwszy wobec przeszłości stanowisko negatywne, wobec współczesności czujne i bojowe, zwraca redakcyja „Przyrodniczego poglądu na świat“ baczną uwagę na wszelkie przejawy życia, oświetlając je z monistycznego punktu widzenia. „Imponująca demonstracya“ katolików w Sarajewie przeciw ograniczeniu świat, strejk uczniów gimnazyalnych w Stryju, napełniają Dra Wróblewskiego radością niemniejszą, jak przystąpienie Ostwalda do Wielkiej Łoży Wschodzącego Słońca. Fakty te nabierają tem większego znaczenia wobec wypadków w Chinach. Jakż może być związek między monizmem polskim a ogłoszeniem republiki w Chinach?

Dr. Wróblewski wyjaśnia to następująco:

„Dziwnym zbiegiem okoliczności ten sam dzień, który proponowałem przed 2 lata w odczytach „O religii nadwyznaniowej“ w Krakowie jako główne doroczne święto międzynarodowe Czerwonej Religii, mianowicie dawniej pogańskie, a teraz cywilne święto Nowego Roku, ten sam dzień 1 stycznia został proklamowany urzędownie przez Zgromadzenie Narodowe największej republiki na świecie, jako pierwszy dzień Republiki chińskiej“. Z tego napozór mało znaczącego faktu wroży Dr. Wróblewski dobrą przyszłość nietylko dla Chin, ale dla całego świata i z niekłamany tryumfem przypomina, że jeszcze w r. 1909 wzywał Polaków, aby emigrowali do Chin i napełniali „czaszki chińskie duchem polskim“. Proroctwa Dr. Wróblewskiego nie są bynajmniej czemś mistycznym, ale opierają się na danych naukowych. Dowodzi on, że rewolucyjne zaburzenia na ziemi zależą od ilości plam słonecznych i że można z góry przewidzieć „niespokojne“ lata. „Jako taki niespokojny rok z obliczeń dotyczących plam słonecznych wypada teraz rok 1915. Rok ten objawi się istotnie jako taki, naturalnie tylko wówczas, jeżeli inne, być może silniejsze jeszcze i więcej znaczenia mające wpływy kosmiczne, biologiczne, społeczne i inne, nie pokrzyżują tych przewidzianych wpływów“. Wobec tego nie należy oznaczać dla wybuchu rewolucyi n. p. roku 1917, gdyż w tym roku „nastąpi stopniowe uspokojanie się i deprimacya“; „natomiast w r. 1915 łatwo zerwać się może zamieszka nieobliczalna, która szyki popsuje“. Cóż więc czynić mają działacze rewolucyjni? Tego Dr. Wróblewski nie mówi wyraźnie, zapewne z obawy, ażeby czynnikoi zainteresowane, t. j. obrońcy dzisiejszego ustroju społecznego, dulaści, religianci itd. nie udaremniili spodziewanej rewolucyi monistycznej.

KAZIMIERZ BEREŻYŃSKI.

## TEATR. „STRACENY“.

Pomimo całego uznania dla p. Tadeusza Konczyńskiego, biorącego energią wstępnego boju sceny polskie, nie można uważać Stracenców za kres jego dążeń, lecz za jedną ze stacyj.

Wymaga tego sprawiedliwość nietylko względem autora, ile względem

jego bohatera, Jana Otawskiego. Dlaczego gwałtowny ten i namiętny człowiek, tyran może i egoista, ale zdolny do całkiem porządnej miłości i przywiązania, ma uchodzić za jakiś czarny charakter? Chętnie można się na to zgodzić, że ma on naprawdę dar hipnotyzowania oczami i głosem, że samym magnetyzmem, nie wzbudzając głębszego uczucia, zdołał zniewolić sobie Łucyę i rozłączyć ją z mężem Wacławem Sawiczem, aby uczynić ją żoną swoją, ale „czarnego charakteru“ w nim niema. A przede wszystkim niema tej oburzającej nikczemności, któraby usprawiedliwiała wpakowanie mu w plecy kuli rewolwerowej. Pierwszy mąż był lepszy, to prawda, szlachetny i pełny poświęcenia, tak szlachetny, jak tylko bywali mężowie w romantycznych powieściach, pisanych przez kobiety w czasach przed emancypacją. Ale i ten drugi, doprawdy, nie jest szubrawcem, godnym, żeby go zabijać jak psa. Zwłaszcza, żeby go mógł zabić ten właśnie szlachetny, co tak łatwo usunął się ze swego miejsca męża, jak ktoś, komu powiedziano: „Przepraszam pana, ten hotel jest zajęty“.

Była jedna chwila, kiedy Otawski mógł drażnić szczególnie i do wściekłości doprowadzić: w końcu II aktu. Ale, przez szczególne snadź niedopatrzenie, autor, zamiast tam już urządzić wystrzał, napisał jeszcze dwa akty. W tych aktach Otawski zdołał w oczach widza tylko zyskać wiele, a nie stracić, tylko sympatyę dla siebie zwiększyć, a nie antypatyę. *Primo* żona, ta niewolnica, sponiewierała go, zdeptała, wyznaniem swej wzgardy i nienawiści, *secundo*, Otawski, wypowiedział się, jako tak zaciekle, choć po swojemu przywiązany do niej, że już tem samem dał nam częściowo satysfakcję. W takich okolicznościach zabicie Otawskiego zniecka jest zwyczajnem, całkiem naiwnem morderstwem.

Dramat p. Konczyńskiego nie wyrasta zatem z psychologicznej prawdy, życiowej logiki i tym podobnych założeń. Nie — z łatwości gromadzenia efektów scenicznych (i tych jest bardzo wiele).

Dość powiedzieć, że wszystkich tych katastrof nie byłoby wcale, gdyby Otawski nie umiał magnetyzować optyczno-erotycznie. Takie zaś magnetyzowanie, to rekwizyt z trupiarni teatru Przybyszewskiego, którą on sam pewnie z czasem spali. Podobnego całopalenia dokona może z czasem i p. Konczyński, mający wydatną kulturę słowa scenicznego i wiele zalet, pokonywujących brak wartościowej treści.

Niestety jednak, „Stracenci“ mają objeżdżać prowincję całą — czy by to nie oznaczało, że p. Konczyński uważa ich za utwór swego istotnego uzdolnienia skończony i poważny?

Inne sztuki, któremi Teatr obdarzył Kraków w ostatnich tygodniach, urodziły się łatwiej, niż sztuka p. Konczyńskiego i łatwiej też skończyły. Nie będziemy po nich nosili żałoby.

JAN ZARYCZ.



## SYGNAŁY.

## UROCZYŚCIE SMUTNE REFLEKSYE.

„Ludzkość spodlona wygląda zbawiciela“. (Z Kraśiński).  
Hrabia Henryk tanim kosztem chce ekspiować samego siebie: dosyć tej komedy, dosyć!

Doczesność jest tylko momentem, chwilką — nie istnieje jako okres, epoka. Każda przeżyta minuta życia jest już przeszłością. Istnieje tylko przeszłość i przyszłość. Doczesność jest fikcją maniaków. Pracować dla przyszłości można tylko w zgodzie z duchem przeszłości. Naruszona równowaga śmiercią jest.

Tylko ten naród głosi kult doczesności, lekceważy przeszłość i przyszłość, który nie ma żadnej przyszłości, który marnie ginie...

...Chcąc zrozumieć Poetę-wieszczą, trzeba go umiłować nie platonicznie, lecz ofiarnie. Prawdziwa poezja jest szczytem altruizmu — „ciągłem prorocstwem“. Gdzie się kończy życie doczesne, gdzie się zaczyna życie wieczne, tam się rodzi Pieśń wieszczą. Ilekroć Bóg pocałuje córkę swoją, ziemię, tylekroć rodzą się bohaterowie pieśni proroczej. Ziemia musi zasłużyć na pocałunek Ojca swego: toć jest prawo. Ten tylko śpiewa potężnie, mocarnie, kto chce żyć wiecznie. Dla wieczności trzeba poświęcić doczesność. Prawdziwa Poezja ofiarą jest. Trzeba płonąć ogniem twórczym, chcąc być światłem czystej Poezji. Dla idei Piękna trzeba się wyrzec demagogii brzydoty. Dla miłości trzeba się wyrzec nienawiści, dla prawdy — kłamstwa. Poeta jest ciągłą ofiarą narodów i ludów. Ciągłą ofiarą Abrahama... Śpiewa ła miliony, albowiem poświęca się za miliony... Romantyzm polski był tym krzakiem gorejącym, z którego przemówił Bóg słowem pociechy, słowem nadziei. W ogniu ofiary twórczej żywie Duch Boży; w ogniu poświęcenia za miliony rodzi się bohaterstwo jutral

Wielką jest dusza, którą spala ogień słońca! Mierną jest dusza, którą niszczy iskra chuci! Tać jest różnica między Poetą a człowiekiem miernym. Słowo Boże piorunem jest: uderza i spala duszę, gdyby krzak na górze Synai. W piorunowo zapłodnionej duszy przemawia Bóg: tać jest radość. Dla słowa Boga trzeba poświęcić słowo ziemi: toć jest prawo mistycznej wymiany twórczej. Proch ziemi, chcąc być duchem wieczności, musi uleść piorunowi niebios... Lepiej zginąć w ogniu słońca, niżli w bagnie! Temi słowy odpowiadam snobom sceptyzmu.

„Boże, pocałuj ziemię polską, aby rodziła bohaterów!“ — woła biedny synek nieszczęśliwego hrabiego Henryka.

„Synu mój, uczyn ofiarę dla Mnie na ziemi polskiej!“ — odpowiada Chrystus.

Oto tragedia chwili obecnej.

Bez ofiary chce być zbawiony syn Polski doczesnej. Bez ofiary, zniewalającej Boga do interwencji, łaski...

Chcąc zrozumieć wieszczów romantyzmu polskiego, trzeba uczynić ofiarę

z miłości własnej — z egoizmu i arogancyi. Trzeba chcieć się wznieść na ten szczyt ofiary, na którym geniusz narodu polskiego, gdyby Mojżesz, rozmawiał z Ojcem swoim. Trzeba stać na szczycie myśli, chcąc krytykować szczyty myśli! Wyrafinowana mierność, nadęta, gdyby balon z papieru, gazem frazesu, może się wznieść po nad szczyt 2-kilometrowy i spalić się ku ucieście pauprów — tak, niezawodnie. Szarlataneria nie jest sprawdzianem wielkości człowieka: o tem trzeba pamiętać! Zrozumieć Mickiewicza znaczy umiłować go tą miłością, jaką on miłował naród. Kto nie miłuje narodu miłością Mickiewicza, ten niema prawa gadać głupstw o Mickiewiczu. Kto nie miłuje piękna prawdy twórczej tak, jak ją miłował Krasinski, ten milczeć powinien w chwili, kiedy cały naród pragnie wielkiej prawdy polskiej! Kto się obawia piękna burzy, ten niech nie gada o Słowackim. — Kto sprzeniewierza się prawu sumienia historyi, ten niech wykreśli z pamięci Norwida!... Już dosyć tej ohydnej komedyi! Szarlatan nie ma prawa sądzić romantyków polskich. Tem bardziej kpiarz i błazen! Wara!... Mickiewicz z Bogiem walczył, aby utrwalić duchową egzystencję Polski! Słowacki zapładniał duszę narodu piorunami burzy, aby była „księciem niezłomnym“! Norwid odczytał apokryfy — stygmaty króla ducha narodu, aby doczesność miała czyste spojrzenie historyczne! Krasinski nauczył czysto, dostojnie, pięknie myśleć o duchu narodu — z chaosu rozpaczliwej stworzył wielką Myśl słonecznej Nadziei!... Mickiewicz był burzą, Krasinski błyskawicą, Słowacki piorunem, Norwid — stygmatem burzy, błyskawicy i piorunu! Zaprawdę nie ma między nimi żadnego przeciwieństwa: wszyscy stanowią jedność Geniusza polskiego! *Cui bono* ta trójrozbiorowa mania (z wyłączeniem po za nawias Norwida)? Słowacki dla modernistów-snobów, Krasinski dla arystokratów-snobów, Mickiewicz dla belfrów-maniaków! Przeczże serca doczesnych Polaków są tak ciasne, że w nich nie może się pomieścić wielka miłość dla wielkości bohaterów Polski, duchem wspólnej ofiary i miłości zjednoczonych? Mania rozbiorów w sferze kultury historycznej — oto tragikomedia chwili obecnej. Narodowy poeta-wieszcz nie może być agitatorzem partyi! Ani Mickiewicz, ani Krasinski, ani Słowacki, ani Norwid nie są sprawdzianami partyjnych ideologii, tem bardziej apostołami partyjności. Są wyrazami geniuszu narodowego, walczącego o utrwalenie fundamentów duchowej egzystencji Polski! Są wieszczem spojrzeniem wieszczego ducha narodu polskiego!

\*

Powtarzam: chcąc zrozumieć Poetę-wieszca — człowieka wielkiego, trzeba go umiłować tą miłością, jaką on miłował życie wielkie, potężne, królewskie. Nie można uczciwie mówić o bohaterach, nie będąc myślą i sercem nastrojonym na nutę bohaterstwa, nie będąc choćby na chwilę porwanym w sferę ekstazy... Nie chodzi mi o bezkrytycznie ślepią miłość — nie! Trzeba chcieć umieć miłować nie tylko sercem, lecz także i myślą. Trzeba się wyrzec przesądów i uprzedzeń i być wspaniało-dostojnie-myślnym... Bohater więcej błądzi, niżli fabrykant mydła! Jaki stąd wniosek? Ażali ten, że mydło jest pożyteczniejsze dla rozwoju człowieka, niżli n. p. Kodeks Napoleona albo Don Kiszot Cervantesa? Ostrożnie z teorią błę-

dów. „Błądzi człowiek, póki żyje!” Bohater nie jest absolutnie nieomylnym bogiem. Miłować go trzeba za to jedynie, że wciąż zmienia mapę myślenia — mapę światopoglądu! Błędy swoje okupuje męczennską śmiercią na Golgocie — na wyspie św. Heleny... Toć jest przeznaczenie jego!...

Z pieśni poety, z prac i czynów bohatera żyje w nas to, co jest ziarnem słowa wiecznego, co zapładnia duszę naszą mocą heroizmu, co wzbogaca naszą wiedzę, świadomość, słowem to, co utrwała podstawy naszej egzystencji w ciągłej walce z naturą. Bohater — to styl i rytm życia wiecznego! W epoce tak wstrętnej, tak plugawego upadku, jak dziś, — w epoce, która sprostytowała słowo, naginając je do obrony najpodlejszych żądź i instynktów, — w epoce, której panem jest rozgłośnię mierny dziennikarz, „hodowca przeciętnych ludzi”, mówić o stylu i rytmie życia wiecznego znaczy to samo, co groch rzucać o ścianę. Rozgłośnię miernej kreaturze dziennikarskiej, teroryzującej ludzi uczciwych, prawiącej morały nawet Mickiewiczowi za to, że był wieszczem-obywatelem i „mieszał się do polityki”, chodzi tylko o styl i rytm szwindlu moralnego; w bagnie codziennego życia skapaną myślą lada „sławny” skrobiopiórek usiłuje przelicytować myśl, którą zrodziła wielka miłość wielkiego zycia!...

Partyjne zdziwienie dziś, jak nigdy, święci w Polsce iście kalibańskie tryumfy. Krasieński? Fe, pandzieju, wszak to „poeta większej własności”. Któż dzisiaj, mocim panie, myśli o Mickiewiczu? Trzeba dziś myśleć o tem, jak obalić namiestnika Bobrzyńskiego!... Słowacki? Panie, panie — chachacha! Wszak to ojciec „moderny” — „nagiej duszy”. Na nic się on nam nie zda! Adolf Nowaczyński jest pożyteczniejszy od dziesięciu Słowackich... Makuszyński Kornel, panie, panie, — oto nasz prawdziwy „doczesny” wieszcz... Norwid? Co, Norwid? Jeszcze nie zblikowałem, abym chciał myśleć o tym idyocie. I tak dalej. W tej iście psiej partyjnej nagonce na bohaterów Myśli polskiej rej wodzą „poeci” z „kulturą” lwowsko-łyczakowską, „krytycy” z „wiedzą” panów z Kępy saskiej, „publicyści”, wychowani przez Sherlocka Holmesa. Ci sami poeci, którzy beczelnie zwłaszcza Słowackiego okradli, ci sami krytycy, którzy Mickiewiczowi, Krasieńskiemu, Norwidowi zawdzięczają „sławę”, ci sami artyści, którzy się wyszkolili na poezji romantycznej, dziś mają nikczemną odwagę bankrutów moralnych (polujących na sensację) wołać: „nam już nie wystarcza trójcy romantycznej!” Ci sami panowie, którzy wypocinami swojemi zaplugawili świątynię Sztuki i Poezji narodowej, mają odwagę reklamować siebie samych jako „zbawców z niewoli trzech wieszczów-łgarzy”... Ten wstrętny objaw zdziwienia tylko psychiatra wyjaśnić nam może. Ja wolę milczeć z nadmiaru wstrętu...

Trzeba pamiętać, że partya przeminie, lecz naród nie przeminie nigdy. „Duch partyj jest duchem wiecznie przeczącym, jest duchem kłamstwa” (Zygmunt Krasieński). Duchem kłamstwa nie wolno mierzyć ducha prawdy, t. j. narodu. Czynów tych mężów, którzy bojowali po to, aby utrwalić zagrożone podstawy duchowej egzystencji narodu, nie wolno oceniać ze stanowiska „interesu partyjnego”... Każdy poeta staje się politykiem z chwilą, kiedy — jako obywatel — walczy

o dobro narodu. Takim politykiem był Mickiewicz. Dlaczego pan Jan Gwałbert Pawlikowski \*) nie zabrania „mieszać się do polityki” takiemu literatowi, jak p. Z. Wasilewski, skoro poecie Mickiewiczowi urągliwie tego prawa odmawia? Czyżby dlatego, że Mickiewicz był „głupszym” od p. Wasilewskiego — jako polityk? Nie sędzę. Zresztą sam p. J. G. Pawlikowski jest literatem (pomimo zaprzeczeń — tak!) a jednak ma odwagę „mieszać się do polityki”. *Curiosum* — nieprawdaż? Dlaczego wielkość Mickiewicza ma cierpieć za to, że stronnictwo p. J. Gwałberta bankrutuje? Pragnąłbym, aby p. J. Gwałbert dowiedział się nareszcie, że prawdziwa polityka jest sztuką, artyzmem. Polityk-artysta — oto ideał. Można politykować pięknie i... po świńsku, niechlujnie. Chcąc pięknie politykować, trzeba być politykiem-poetą. Mickiewicz politykował artystycznie, Krasński także. Doczesne chamy politykują po świńsku — Poeci uczą pięknie politykować: oto ich zasługa. *De gustibus non disputandum est. Zaświnione człowieczeństwo wygląda z bawiciela swego!* Tak, zaprawdę. Doczesny człowiek woli siedzieć w tinglu, niżli w świątyni (której mu już „nie wystarcza”). Doczesny poeta śpiewa, jak indyk, żyje, jak świnia. — Doczesny polityk szwindluje aż do bramy kryminału. Wszyscy razem szydzą z „trójcy romantycznej”, albowiem baron Szwindelman zawyrokował, że to „bardzo kiepski interes, banki na tą hipotekę nie chcą dać pożyczki”. *De gustibus non disputandum est.* „Dziś można być albo poetą, albo... świnia” — powiedział jeden z wybitnych polityków polskich. P. J. Gwałberta Pawlikowskiego proszę bardzo o to, aby raczył, nad tym problemem naukowo się zastanowić. Albowiem Mickiewicza zlekceważono po to, aby tryumfował... cham partyjny — dusza kłamstwa i przekory wiecznej — sławny warchoł... Partyjny punkt patrzenia na Mickiewicza — oto przyczyna upodlenia myśli...

\*

Trzeba chcieć umieć być wdzięcznym bohaterom twórczej myśli polskiej za to czyste, jasne spojrzenie w przyszłość, które, gdyby słońce — z chaosu i bezmyślności pół-życia tworzy wielki sens żywota. Żyjemy w tak strasznym piekle chaosu, jak nigdy. Zdawałoby się, że my wszyscy, jako jeden mąż, bez żadnych zastrzeżeń, powinniśmy miłować tych, którzy są wyrazem harmonii życia. Niestety! „Realniejszą” jest dla nas myśl obłąkana, nakazująca nawzajem się pożerać, niżli myśl wieszcząca, wzywająca do jedności w życiu, pracy... Nałogowo lubimy zapominać, że człowiek tylko tyle jest wart, ile jest wart jego wysiłek naprawdę twórczy. Być twórcą znaczy z chaosu tworzyć harmonię! Największą zasługą bohaterów myśli polskiej jest to, że z chaosu rozpaczy odkupili i odbudowali duszę narodu, że życiu Polaka nadali sens!... Maniaków doczesności, ginących w chaosie obłądu, nie podobna opamiętać, ani przekonać. Doczesność jest idyotyczna, więc i my wszyscy winniśmy być idyotami: tać jest ich „idea”...

Z matołkami doczesności, z hodowcami ludzi przeciętnych nie będę

---

\*) Uwagi z powodu dyskusji w Związku literac.-art. we Lwowie na temat stosunku literatury do życia.

polemizował na temat: czyje „życie” jest realniejsze, czy Mickiewicza, czy p. J. Gw. Pawlikowskiego. Wiem tylko, że żywot matolka doczesności jest fantastyczniejszy, antyrealniejszy od żywota lokaja, dla którego nie istnieją wielcy ludzie... W tej kwestyi poważnie mogą mówić tylko z ludźmi, którzy pracują dla przyszłości — perspektywnie — „Przyszłość jest wieczną korektorką” (Norwid). Gdyby docześni poeci i literaci pamiętali o tem, nie pisaliby takich wstrętnych głupstw, nie dogłupialiby się do poziomu motłochu...

Najwstrętniejszą jest „miłość z zastrzeżeniami”. Tylko chamy miłują z zastrzeżeniem... Któż z „Młodej Polski” dorównał wieszczom poezyi romantycznej potęgą myśli i woli twórczej, krasą formy i głębią słowa, czystością i prawością charakteru, ofiarą i miłością? Któż z doczesnych grafo-manów „przelicytował” (tandeta — a jakże!) Mickiewicza, Krasieńskiego, Słowackiego, Norwida? Wskaż mi, panie Wasilewski, realniejszego od Mickiewicza poetę! *Cui bono* te chamskie zastrzeżenia?... Śmieszna jest apologia „Młodej Polski” kosztem romantyzmu, panie Ostapie Ortwiniel! „Młoda Polska” nie miała, niestety, swego Mickiewicza; stworzyła typ snobal w dziełach zohydzonej „trójcy romantycznej” szukamy ukojenia i potęgi twórczej w chwili, kiedy na cały naród polski padają ciosy klęsk i nieszczęść; przenigdy w dziełach Przybyszewskiego, Miriama, przenigdy w „Próchnie” Berenta, „Dziejach grzechu” Zeromskiego itd. *Cui bono* te chamskie zastrzeżenia?... Dzisiaj już nawet kober nie wie, że nie słońce dokoła ziemi, lecz ziemia dokoła słońca się obraca. Czy z tego wynika, że „Kopernik nam już nie wystarcza”, że Kopernik dziś jest głupszym od lada durnia? Wychować się na dziełach i czynach wielkich ludzi i mieć cyniczną odwagę uragać mistrzom swoim: oto szczyt upodlenia! Chamstwo zalewa duszę narodu polskiego. Znikczemnione człowieczeństwo wygląda zbawiciela swego! — Tak, zaiste... Mickiewicz, Krasieński, Słowacki, Norwid pięknie i głębiej sformułowali ideę narodową Polski, niżli Wyspiański, który powiedział: „Polska — to wielka rzecz” (*N. B.* czy dla Mickiewicza Polska była „małą rzeczą”?). „Trójca romantyczna” stworzyła naród polski, duchowi jego nadała formę, a myśli polskiej — wielki styl! Któż w tym względzie dorównał Mickiewiczowi? Wyspiański?! Zastanówmy się głębiej, zanim odpowiemy. Mam już dosyć tej katarynkowej muzyki, zwanej „krytyką dziennikarską”.

Mnie nie chodzi o talmudyczne pojmanie poezyi wieszczej, która była i jest (bez zastrzeżeń) wielką inicjatywą wielkiej twórczości. Nie do ubóstwiania „trójcy romantycznej” wzywam, jeno do miłowania bez zastrzeżeń! Myśl wieszczca pozostanie myślą wieszczą bez względu na formę wyrazu. Można się sprzeczać o „realniejszość” (trzeba ją najpierw dać, stworzyć, a nie gadać *a priori*) tej myśli, lecz nie wolno kwestyonować jej wartości życiowo twórczej... Nie zapominajmy, że wielki poeta może zrewolucjonizować masy i obalić mędrkujących mężów stanu. Wielki polityk nie lekceważy znaczenia wielkiej poezyi dla życia, tem bardziej nastroju moralnego masy. W imię idei „postępu moralnego” (Krasieński) jutro mogą powstać miliony ludu przeciwko tym, których ideałem jest szwindel, podłość, nikczemność! Nic nie pomogą nawet „naukowe teorye” panów Szwindelmanów, że „życie piękne, wzniosłe, do-

stojne, uczciwe, ofiarne, słowem, chrześcijańskie maniactwem, t. j. a normalnością jest". Zasada, że normalnym człowiekiem jest łotr, oszust, już bankrutuje haniebnie. Naród polski przenigdy się nie zgodzi na to, aby jego wychowawcą był Judasz. Jeżeli Mickiewicz był „chorym maniakiem“, Słowacki „chorym fantastą“, Krasiniński „chorym arystokratą“, to jak nazwać doczesnych matołków, którzy naród karmią obrzydliwościami? *Quousque tandem?* Budujcie, maniacy doczesności, domy czynszowe, które już się walą bez trzęsienia ziemi! Lecz pamiętajcie, że nadaremno wyglądać będziecie zbawiciela swego: zginiecie w ruinach tych ruder, któreście wzniesli na wstyd i hańbę narodu...

Ażali naprawdę już się przeżyła w Polsce myśl wieszczca? Czy się zmienił polityczny stan narodu? Czy się zmieniła dusza narodu zasadniczo? Czy ta wielka tęsknota, która parła „trójcę romantyczną“ do bohaterstwa, już wyparowała z duszy narodu? Czy Polska żyje wznioślejszą, świętszą wiarą, miłością i nadzieją? Czy jest lepiej zabezpieczona, niżli 50 lat temu? Czy się naprawdę przeżyła królewska idea Jagiellonów, która w poezji Mickiewicza osiągnęła szczyt swój najwyższy? Czy się przeżyła idea „Dziadów“, idea „Nieboskiej“, idea „Irydyona“, idea „Króla Ducha“? Czy hr. Henryk (doczesny) jest lepszy i mędrzy? A Pankracy, czy się nie boi „nędznego Galilejczyka“? Czy się przeżyła w Polsce „praca wieków“?... Nie! Naród polski jest w gorszym położeniu, niżli 50 lat temu. Grozi mu katastrofa... Dawniej poeci duszę narodu nastrojali na ton bohaterstwa, a dziś?! Brudami karmić naród — jakiz to straszny upadek!...

Nie przeżyła się w Polsce wielka troska o utrwalenie podstaw duchowego bytu narodu — nie, przenigdy! Precz z tem kłamstwem! Naród nie będzie mógł realnie żyć dopóty, dopóki nie będą utrwalone podstawy jego duchowej egzystencji. Naród nie będzie politycznie mocny dopóty, dopóki nie będzie potężny i zdrowy moralnie. — Tęgo nas uczą bohaterowie poezji romantycznej...

„Czyż ciągle i bez wytchnienia, a zmartwychwstaniesz z pracy wieków“ (Z. Krasiniński).

Kto niema przeszłości, ten niema i przyszłości!

J. ALBIN HERBACZEWSKI.

## ACH, ZAJRZEĆ W DUSZE BRATNIE...

Ach, zajrzeć w dusze bratnie, a potem ze wstrętem  
cofnąć się, i splunąwszy, zerwać z tem przeklętym  
tańczących niewolników i służalców stadem, —  
i chyba iść pomarłych Wielkich Duchów śladem,  
co w piersi swej pieścili potęgę i żar,  
i melodyę w wyż rwącą i wielkich słów dar — —

Bowiem tutaj, współcześnie, małość gospodarzy  
i śmiech błazna wszystkiemu przydany na straży,  
i wielkie słowa w puste zmieniły się dźwięki,  
bolesci i rozpacze w histeryczne jęki,  
i wszystko dziś nieszczerze, i śmiechy i łzy,  
jako towar tandetny, przemycany, zły — —

Na wielkość, na potęgę, liliputów ręce  
błotem dzisiaj rzucają, o pałacej męce  
wesołek dziś skowyczy alkoholem struty,  
i bierze, skrzeczek lichy, takie górne nuty,  
że niemi prowadzony pogrąża się lud  
w kał gryzący przegniłych a bezdennych błót — —

A ową zaś malignę, w której się ucieka  
od wszystkiego, co duszę podnosi człowieka,  
a ową chorobliwość, w której wciąż się szuka  
„Absolutu“ gnojówki, — jak chce ich nauka, —  
zowie się wrażliwością, subtelnością dusz,  
których jeśli nie wielbisz, — *tandem* lutnię złoż...

Więc liliput-wesołek, co sensacją żyje,  
by głośnym być, błazeńsko pod wielkością ryje,  
i pozę rycerzyka przybrawszy komiczną,  
piszczy: Oto na Trójcę gwizdzę Romantyczną, —  
a gdyby kto powiedział, że błazeństwo to,  
odrzekę, gwizdże również i Angielczyk Shaw — —

Odwracaniem wartości zasię to się zowie,  
które pojmują jeno podniosli duchowie,  
znający wszystkie grzechy, zbrodnie i choroby,  
(a w życiu są zwyczajne filistry i snoby),  
co zdołają łajdactwom dawać tytuł cnót,  
a o cnocie powiadać, że to pył i brud — —

A dały im obronę tego wyższe duchy,  
co dawno już stargały dzieciństwa pieluchy,  
i stworzyły dla świata Pochronie, Saniny,  
i z wszystkiego co czyste oszalałe drwiny, —  
bowiem dla nich, co białe jak śniegi, to kir,  
a ryk zwierząt — harmonią najcudniejszych lir — —

Wielkoduszki to nasze wiedzą, w Moulin-Rouge'ach  
bywali, więc cyganią o tych w sztuce burzach;  
Jaś Purchawka, Nel Łysek i Muzykant Henio  
z pornografią co rychlej nędzne rymy zenia,  
i „laleczki“ zdziaławszy, wraz skrzykują lud,  
by tłumem biegł oglądać nowej sztuki cud — —

A inni naśladowując czempredzej „Wiatraki”,  
 „Heliosy”, „Czyścce”, „Jamy” czynią i „Hadesy”,  
 gdzie bezmyślnie rechocząc przy trunkach pijaki,  
 trą ręce, gdy kankanią szansonetki-biesy,  
 zasię kupler-artysta, napełniając trzos:  
 „Oto jest naga sztuka!” — wykrzykuje w głos — —

Taką dzisiaj jest sztuka, kapłanka narodu — —  
 ona jedna dziś jeszcze obudza „nastroje”;  
 czem za Sasa szlachetce pełna stągiew miodu,  
 tem snobowi kabaret, a w nim panien roje, —  
 dawniej piłeś tak wiele, byś już nie mógł pić,  
 dzisiaj żyjesz tak szybko, byś już nie mógł żyć — —

A na scenie dzień po dniu misteryum się czyni,  
 w jaki sposób się sprzedać, spodlić w jaki sposób,  
 zamtuz dzisiaj panować jął w sztuki świątyni;  
 gdy dają Słowackiego, przyjdzie dziesięć osób,  
 lecz gdy sztuczka w negliżu kostyumów i słów,  
 goni na nią Warszawa i Kraków i Lwów — —

Gdzież młodzieńcy? W ukryciu przy spuszczonych storach,  
 sądzisz, może studyują sławne Polski dzieje,  
 albo może spiskują, rozczytani w wzorach  
 płomiennych ód wolności?... Patrzej, oto dnieje, —  
 wymykają się chyłkiem, w dół spuściwszy łba,  
 umęczył ich alkohol, rozpusta i gra — —

Tak idziem do przepaści i młodzi i starzy — —  
 Judasze z tego tyją, Niemiec, Kozak tyje,  
 i co chwila złość śliną znaczy nam na twarzy,  
 i coraz srozsze jarzmo wtlacza nam na szyję,  
 a my, sił nie mający do zerwania pęt,  
 nie litość wokół budzim, lecz wzgardę i wstręt — —

Ach, zajrzeć w dusze bratnie, a potem ze wstrętem  
 cofnąć się, i splunawszy, zerwać z tem przekłętym  
 tańczących niewolników i służalców stadem,  
 i chyba iść pomarłych Wielkich Duchów śladem,  
 co w piersi swej pieścili potęgę i żar,  
 i melodyę w wyż rwając i wielkich słów dar — — —

ADAM STODOR.



## PIERWSZE ATAKI NA „RYDWAN“.

Sądząc z ilości rzucanych na Rydwan obelg, z prób zaszkodzenia mu milczeniem w przeważnej liczbie pism, które go otrzymują — mnóstwa intryg i intryzek — popełnionych już na jego zasadniczych artykułach (np. O Krasieńskim), plagiatów, oczywiście „delikatnych“, „legalnych“ — powszechnego, a tak niespodziewanego unisono na temat „snobizmu“, Rydwan nadszedł we właściwej chwili i przyszłość ma zapewnioną.

Ci zatem, co wytaczają przeciw niemu wszystkie swoje kolubryny złości, złośliwości, plotkarstwa itp. niechaj nie mają złudzeń, że osiągną skutek zamierzony. Owszem, osiągną, ale właśnie przeciwny — skupią tylko więcej tych ludzi, którym obmierzło już duchowe służalstwo. Nie ulękniemy się tak bardzo nawet programu „najmłodszej Polski“, która wywiesza godło „świętego głodu złota“, nazwanego ongi przez Tomasza Carlyle'a „etyką świni“.

Rydwan wyszedł z kuźnicy hartownej. Niech to sobie arlekiny zapamiętają. Ma on doświadczenie nabyte jeszcze dawniej, zna i przeniknął dusze dzisiejszych apostołów „etyki świni“ na wylot, w boju krwawym i nie tylko z błaznami był nieraz i nim jeszcze otrzymał dzisiejsze swoje chrzestne miano. Rozumie siły wzniosłe i moce plugawe naszego społeczeństwa, jak może nikt inny, i nie zawaha się sławić jednych, a rozdeptywać robactwa drugich.

A przyjaciele naszego pisma z pośród autorów polskich niechaj nie wierzą tendencyjnie szerzonemu kłamstwu, że Rydwan jest pismem kliki. Boże mój, czyżby tak wiele było już ludzi niezawisłych, że aż mogliby tworzyć klikę?

ALASTOR.



## KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI. (MIĘDZY INNEMI)

- Polska Plastyka średniowieczna.* 147 fotografii — rysunki i tekst Ludwika Stasiaka.
- Ludwik Stasiak: *Prawda o Plotrze Vischerze, O narodowości Włta Stwoosza, Rewindykacje własności naszej.* Kraków 1912.
- Helena d'Abancourt de Franqueville: *Linia i plama w malarstwie.* Odbitka z „Krytyki“.
- Ludwik Stanisław Liciński: *Halucynacje.* Kraków 1911. G. Gebethner i Spółka.
- Michał Soboski: *Interludya.* Nakładem „Książnicy“. Kraków 1912.
- Roman Zawiliński: *Z kresów polszczyzny.* Kraków 1912. Nakładem księgarni S. A. Krzyżanowskiego. Warszawa: G. Centnerszwer i Ska.
- Mikołaj Mazanowski: *Szkłce pedagogiczne.* Kraków 1912. Księgarnia S. A. Krzyżanowskiego. Warszawa: E. Wende i Ska.
- Henryk Salz: *Mocarze. Poezye.* M. Haskler. Stanisławów 1912.
- Andrzej Galica: *Robert Szporm.* Dramat w czterech aktach. Spółka nakładowa „Książka“. Kraków.
- Zygmunt Kisielowski: *Wędrowiec.* Warszawa 1912. Nakładem J. M. Muszkowskiego.
- Kazimierz Zdziechowski: *Opoka.* Powieść. Kraków 1912. S. A. Krzyżanowski. Warszawa: E. Wende i Ska.



---

ADMINISTRACJA, EKSPEDYCJA I PRZYJMOWANIE  
OGŁOSZEŃ W KSIĘGARNI S. A. KRZYŻANOWSKIEGO  
W KRAKOWIE, RYNEK GŁÓWNY LINIA A-B. TAM TEŻ  
ADRESOWAĆ NALEŻY LISTY I PRZESYŁKI DO REDA-  
KCJI. PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ NADTO WSZYSTKIE  
WIĘKSZE KSIĘGARNIE POLSKIE.

SKŁAD GŁÓWNY NA KRÓLESTWO I ROSYĘ: WARSZAWA  
KSIĘGARNIA G. CENTNERSZWERA I SKI - Marszałkowska 143.

RYD WAN UKAZUJE SIĘ CO 15. KAŻDEGO MIESIĄCA  
W OBJĘTOŚCI NINIEJSZEGO ZESZYTU.

PRENUMERATA WYNOŚI:

ROCZNIE K. 12.—, PÓŁROCZ. K. 6.—, KWARTALNIE K. 3.—  
W W. KSIĘSTWIE POZNAŃSKIM:  
ROCZNIE MK. 10·50, PÓŁROCZ. MK. 5·50, KWART. MK. 2·75  
W KRÓLESTWIE POLSKIM:  
ROCZNIE RB. 5.—, PÓŁROCZ. RB. 2·75, KWART. RB. 1·50

ZESZYT ODDZIELNY K. 1·20.

OGŁOSZENIA: ZA CAŁĄ STRONĘ JEDNORAZOWO 50 K., ZA PÓŁ STRONY  
K. 30, ZA ČWIERĆ STRONY K. 15. ROCZNIE 25%, PÓŁROCZNIE 15%, ZNIŻKI.

REDAKTOR I WYDAWCA:  
CEZARY JELLENTA (CEZARY HIRSZBAND).

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: DR. KAZIMIERZ BEREŻYŃSKI.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH

**J. WŁ. DAWID:** *INTELLIGENCYA, WOLA I ZDOLNOŚĆ DO PRACY. Z RYSUNKAMI.* 1911, STR. XVI + 691. CENA K. 9 (RB. 3-50).  
**TEN ŹE:** *O INTUICYI W FILOZOFII BERGSONA. ODBITKA Z „KRYTYKI“.* 1912. CENA HAL. 60 (KOP. 30).

**JÓZEF ALBIN HERBACZEWSKI:** *I NIE WWÓDŹ NAS W POKUSZENIE (SZKICOWANE WIZERUNKI DUSZ WSPÓŁCZEŚNIE WYBITNYCH NA TLE MYŚLI DZIEWOJEJ).* KRAKÓW 1911. CENA KOR. 3.  
*GŁOS BÓLU (SPRAWA ODRODZENIA NARODOWEGO LITWY W ZWIĄZKU ZE SPRAWĄ WYZWOLENIA NARODOWEGO POLSKI).* KRAKÓW 1912. CENA KOR. 3.

**KAZIMIERZ BEREŻYŃSKI:** *FILOZOFIA CYPRYANA NORWIDA.* (ODBITKA ZE „SFINKSA“). WARSZAWA 1911.

WYSZŁY Z DRUKU KSIĄŻKI CEZAREGO JELLENTY:

*DRUID JULIUSZ SŁOWACKI.* NAKŁADEM FELIKSA WESTA. BRODY-LWÓW. 1911. STR. 225. CENA K. 3-50.

*GRAJĄCY SZCZYT.* STUDYA SYNTETYCZNO-KRYTYCZNE. („NIE PIEŚŃ SEN, LECZ PIEŚŃ MOCARZA“. KONCEPCYE POLSKI. PROROCTWO MICKIEWICZA. DZWONY CHOPINA. DONATELLO SZTUKI POLSKIEJ. RZEŻBY DUNKOWSKIEGO. JACEK MAŁCZEWSKI. BYZANTYZM A KRYTYKA. MODERNIZM. MIŁOŚĆ A GINĄCY ŚWIAT. DWIE HISTORYE KUPIECKIE. GRAJĄCY SZCZYT). NAKŁADEM S. A. KRZYŻANOWSKIEGO. KRAKÓW 1912. STR. 230. KOR. 4-50.